

**BIBLIOTEKA
TĘCZOWA**

TEODOR ROOSEVELT

AMERYKANIZM

**SPÓŁKA AKCYJNA
WYDAWNICZA**



Nr. 5.

TEODOR ROOSEVELT: AMERYKANIZM

BIBLIOTEKA TĘCZOWA

POD REDAKCJA

JÓZEFA MIRSKIEGO

Wytłoczono w Drukarni Polskiej we Lwowie
pod zarządem Z. Kietbusiewicza

TEODOR ROOSEVELT

AMERYKANIZM

Przełożył i wstępem zaopatrzył

JÓZEF MIRSKI

LWOW

Nakładem Spółki Akcyjnej Wydawniczej



CM 313805

Prawa przedruku zastrzeżone

WSTEP

Przez długi czas była dla nas Ameryka pojęciem na w pół mitycznym. Z wyniesionymi przez nas z ław szkolnych historycznymi wiadomościami o patryjarchalnej ojczyźnie Washingtona, uświetnionej również czynami bohaterów polskich: Kościuszki i Pułaskiego, nie zbyt harmonijnie łączyły się krwawe i fantastyczne obrazy z lektury Fennimore'a Coopera, Mayne Reйда ii. A potem napłynęła nowa fala wyobrażeń, od tamtych zgoła odmienna, o Ameryce, jako ojczyźnie jankesów, potwornym rezerwuarze sił roboczych, emigrujących z Europy, i asylum dla wszelkiego rodzaju awanturników i przestępców, uciekających przed pościgiem europejskiego prawa na drugą stronę Oceanu. Z czasem przybyły jeszcze inne rysy, a przede wszystkim te, które sprawiły, że Ameryka stała się dla nas synonimem niesłychanej ekspansji sił i żywotności we wszelkich dziedzinach materialnego rozwoju: techniki, przemysłu, handlu, a co za tem idzie, synonimem olbrzymich bogactw, krainą wszechmożliwości.

Europejczyk, któremu to wszystko ostatecznie niesłychanie imponowało, Europejczyk z tą swoją starą, wielowiekową wytwornością, z swym estetyzmem, humanizmem i idealizmem — przeciwstawiał się długo „chamskiej“ parweniuszce; drażniła go ona i odrażała chropawą od roboty i żylastą dłonią, nadmiernym rozwojem muszkułów, nazbyt zdrowym rumieńcem na twarzy; odstęczała swym zbyt ostrym i niewybrednym smakiem; swem wyłącznym bałwochwalstwem Mamona i Zdrowia, fabryki i sportu; swym kultem atletyzmu i boksu; swem okrucieństwem wobec murzynów; swem oszalałym tętnem pracy, zabijającym rzekomo wszelkie wyższe potrzeby życia; wszechwładztwem swej plutokracji; a w dużej i szczególniejszej mierze również swym brakiem wielkiej rodzimej sztuki i literatury. Pod tym ostatnim względem nie wiele jakoś wpłynęły na zmianę opinii powszechnej nazwiska Longfellowa, Poe'go, Irvinga, Bret Hart'a, Marka Twaina, Emersona, Whitmana i i. — Europejczyk, dla którego jeszcze w pierwszej połowie XIX w. była Ameryka jedną wielką farmą, bytującą w stylu „Chaty wuja Toma“, nie pozbawioną zresztą swoistej romantyki dzięki nieustannej grozie walki z Czerwonoskórcami, dla którego i ci Czerwonoskórcy nawet w perspekty-

wie oddalenia idealizowali się w interesujący prymityw, i który nieraz, jak nasz Norwid lub niemiecki poeta L e n a u, uprzykrzywszy sobie Stary Kontynent, wyprawiał się na drugi brzeg Oceanu, niby na błogosławioną wyspę Nipuanów, — ten Europejczyk długo nie umiał się oswoić z tak odmienną od idyllicznego jego fantasmatu rzeczywistością. Bronił się przeto przed nią tym swoim pobłażliwym uśmiechem z pańska, w którym w jeden grymas zespalały się poczucie własnej wyższości i ironja.

Rzeczywistość ta jednak rosła, jak huragan, jak żywioł, jak z mgławic kosmicznych wyłaniający się Nowy Świat. Ameryka wyszła z swej izolacji i silną ręką chwyciła za tryby kół, obracających dzieje państw i narodów. Z pierwotnego błogostanu weszła w okres niesłychanie wytężonej wytwórczości, a uporawszy się z sprawami w własnym domu, nagromadziwszy olbrzymie zapasy bogactw i towarów, parta koniecznością zbytu i szukania rynków, wystąpiła na wielką arenę świata, jako nowa, realna, pierwszorzędna Potęga. Od tej chwili odmieniło się oblicze ziemi. Dzięki kolonjom, potężnej flocie handlowej i wojennej, a przede wszystkim rozumnej, patriotycznej polityce swych mężów stanu stała się Ameryka panią mórz, pierwszym kupcem świata, groźną rywalką jedynej

do tąd władczyni oceanów: Anglii. Odtąd wzmógł się jeszcze bardziej wpływ Ameryki na Europę, przenikając do niej całą siecią kanałów politycznych, przemysłowych, technicznych, handlowych, kulturalnych i pseudokulturalnych. Wzmógł się też opór Europy przed tym kulturalnym mezaljansem; uważając się za jedyną prawną spadkobierczynią i rasową przedstawicielkę prawdziwej kultury, a czując zbliżającą się katastrofę, przydała Europa do ironicznego uśmiechu broń poważniejszą: teorię. Poczęła teoretycznie zwalczać „amerykanizm“, „amerykanizację“. Już to samo jednak, już to ukucie osobnego terminu świadczyło, że „amerykanizm“ z bezmiernego, pozaoceanicznego oddalenia zbliżył się na dystans, wyzywający samoobronę. „Amerykanizm“ znaczył dla Europy: wyłączny kult pieniędzy, surowego dobrobytu materialnego i dobrostanu fizycznego; kult dolara, beefsteack'a i bicepsów; znaczył jeszcze: plantatorstwo, handel żywym towarem, potworny wyzysk robotnika, olbrzymie truisty i chydną reklamę; oligarchję miliardów i wielosettysiężne meetingi; sekciarstwo i spirytyzm; kino, cyrk i „drapacze chmur“; znaczył jeszcze wiele innych rzeczy, wobec których każdy przyzwoity Europejczyk doznawał odrazy i — zawrotu.

„Amerykanizm“ ten jednak — mimo

wszelkich protestów i przestróg — działał całą potęgą swej nieokiełznanej tężyzny, zapładniając Europę mnóstwem bodźców, szczególnie dodatnich w dziedzinie techniki, przemysłu, handlu, odrodzenia fizycznego, idei pedagogicznych, a nawet filozoficznych. Nazwiska Edisona, Stanley Halla i Williama Jamesa, starczyć tu muszą za symbole tej nowej kultury amerykańskiej.

Jakoż z czasem zaczęto tę kulturę poznawać coraz lepiej, coraz wnikliwiej. Poza szorstką i chropawą powłoką poczęto odkrywać nową duszę, pełną możliwości rozwojowych; poza materjalizmem głęboki, praktyczny idealizm; poza kapitalizmem rozumny i ciepły humanitaryzm; poza doczesnością żywy nurt życia religijnego — a wszystkie te nowe moce ducha, ujawniające się w całym szeregu płodnych idei, przedewszystkiem zaś mądrych urządzeń społecznych i politycznych. Że obcych Europie — to prawda; lecz wszakże w tej kulturze europejskiej właśnie dzięki wielowiekowym jej tradycjom tkwiło i tkwi jeszcze mimo wszelkich cennych wartości wiele form martwych oraz zgubnych przesądów, będących jakby skamielinami ducha i krępujących swobodę jego ruchów, jakby kajdanami. Ameryka zaś to wolność od wszelkich przesądów, to samodzielne poszukiwa-

nie nowych wartości i dróg, wiodących do ich urzeczywistnienia.

W ten sposób zaznaczył się dalszy etap w stosunku Europy do Ameryki: od romantyki do ironji, od walki z „amerykanizmem“ z jednej strony a przesadnego kultu z drugiej do coraz głębszego rozumienia, coraz racjonalniejszej wymiany wpływów. — Proces ten trwa dotąd, a potężnej podniety doznał wskutek Wielkiej Wojny, w której Stany Zjednoczone tak wybitną odegrały rolę a w której poza ogromną ich potęgą ujawnił się tak wspaniale idealizm i humanitaryzm duszy amerykańskiej — ucieleśniony głównie w świetlanej postaci prezydenta Woodrowa Wilsona, będącego prawdziwym „representative man“ najwyższego szczebla rozwoju moralnego, który dusza ta osiągnęła.

Mówimy: „dusza“, nie zaś Ameryka. Bo jeśli kraj cały, naród, porównamy z tak złożoną istotą, jaką jest człowiek, to obok duszy przyjdzie nam wyióżnić coś, co jest niejako na pograniczu między duszą a ciałem, a coby określić można, jako temperament, instynkt, siłę żywotną organizmu, coś, co jest proste, bezpośrednio, twórcze, jak żywioł, a zarazem ma w sobie już utajone cele własne i kierunek. Otóż gdy w Wilsonie przejawiała się amerykańska dusza, to ów instynkt i temperament Ameryki, ów pierwiastek bardziej or-

ganiczny reprezentuje inny Amerykanin, w swoim czasie nie mniej od Wilsona głośny i, jak on, prezydent Stanów Zjednoczonych, Teodor Roosevelt.

T. Roosevelt wywodzi się z rodu holenderskich knickerbokerów, którzy półtrzęcia wieku temu (w r. 1649) przybili do brzegów Ameryki i należeli do założycieli Nowego Amsterdamu, dzisiejszego Nowego Jorku. To też rodzina Rooseveltów zalicza się do najwyższej arystokracji amerykańskiej, a specjalnie nowojorskiej. Ogromne koligacie i niezależność finansowa — oto dwa warunki, które predestynowały każdego Roosevelta do zajęcia wybitnego stanowiska w życiu amerykańskim. Zwłaszcza, jeśli mu nadto nie poskąpił Bóg i innych przymiotów osobistych. A te właśnie w całej pełni przyniósł z sobą na świat Teddy (ur. w r. 1858), najstarsze z trojga dzieci Mr. Teodora Roosevelta seniora. Nadewszystko niepożytą wolę oraz trzeźwy, zdrowy rozum. — Teddy odebrał wychowanie takie, jak każdy syn dobrze sytuowanej rodziny amerykańskiej. Obok gorliwej uprawy sportu; atletyki, boksu, jazdy konnej, szermierki, biegu i strzelania studjował w Harvard College z obowiązku prawo,

z szczególną zaś pasją zoologję i historję. Następnie odbył podróż do Europy. Był w Niemczech i Szwajcarii. Stał na szczycie Jungfrau i Matterhorn. Wróciwszy do Ameryki, ożenił się, już po roku jednak stracił żonę. Nęcił go teraz „Zachód“, życie c o w b o y ó w na stepie, życie w nieskrępowanej swobodzie. Zabrawszy ulubionego Plutarcha i — flintę, pojechał do Stanu Dakota. Mieszkał w drewnianym szałasie, żył po spartańsku. Przeważnie jednak przebiegał na koniu tygodniami całemi step i lasy, polując. Nieustraszoną odwagą, przytomnością umysłu, siłą fizyczną i prostotą w obejściu zjednał sobie podziw i szacunek wśród dzikich pastuchów i łowców, z których w niedługi czas potem miał uformować słynny swój pułk „Rough Riderów“. — Wróciwszy do Nowego Jorku, wybrał karierę polityczną. Z szybkością nawet w Ameryce niezwykłą wspinał się z szczybla na szczybel: w r. 1883 zostaje posłem do parlamentu nowojorskiego z ramienia partji republikańskiej; w r. 1884 tejsze partji przewodcą; w latach 1889—1895 szefem administracji cywilnej; w r. 1897 obejmuje ministerstwo (sekretarjat stanu) marynarki i żelazną ręką organizuje flotę amerykańską, przysposabiając ją do przyszłych zwycięstw; gdy wybuchła wojna hiszpańsko-amerykańska, tworzy swój pułk Raugh - Riderów i zdo-

bywa na jego czele sławę i popularność niebywałą; dzięki niej zostaje po zwycięskiej wojnie gubernatorem Nowego Jorku, w 2 lata później wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych, a w r. 1901, gdy prezydent McKinley pada w Buffalo ofiarą anarchistycznego zamachu, wchodzi 43 letni „Teddy“ do Białego Domu w Washingtonie i zasiada na stolcu Prezydenta (do r. 1909).

Czas swej prezydentury jednak Roosevelt nie tyle przesiedział, ile go „przejechał“. Od miasta do miasta nosił go express-pociągi z niesłychaną szybkością. Telefon i telegraf bez drutu łączyły go i podczas podróży z washingtonską centralą. Po drodze załatwiał sprawy państwowe równie dobrze, jak w swym gabinecie prezydjalnym. Albo też czytał, studjował, pisał. Po miastach wygłaszał mowy proste, rozumne, silne. — Dopadłszy chwili wolnej, przemieniał się z lubością w turystę lub myśliwego; wspinał się po górach, brnął w śniegach, uganiał po stepach, zasądzał się w lasach — zawsze młody, zapałczy.

Roosevelt to olbrzymia, niewyczerpana energia, niezmierna pojemność umysłu, zadziwiająca wielostronność, podziwu godna równowaga ducha, a nadewszystko niesłychana ekonomiczna praca, wynikająca ze znakomicie funkcjonującego aparatu nerwo - mózgowego.

„Roosevelt — powiada jeden z jego biografów — dyktuje swoje książki stenografom, chodząc, co minuta. Jego głowa jest w takim porządku, że może każdej chwili wydobywać z niej świeże pokłady myślowe; w przerwach zajmują go całkowicie inne sprawy; mózg jego pracuje na zmianę w rozmaitych gałęziach wiedzy. Pracuje nad książką swoją wtedy, gdy wdziewa buty do jazdy, a kończy ją, siedząc na siodle“.

I tylko ta ogromna energia ducha, będąca niewątpliwie w związku z żelaznem jego zdrowiem, zahartowaniem przez uprawę sportu, umożliwiała mu rozwijanie tak wielostronnej działalności z równą jakoby znajomością rzeczy w każdym kierunku. Już to samo, ta nienasycona chłonność i żywotność czyni Roosevelta symbolem swego kraju. Jest on niby wzdęty i rozpędzony strumień górski, przewalający się po głazach i przelewający się poza brzegi swoje. Roosevelt skupia w sobie całą tężyzny swej rasy.

Symbolicznym jest on jednak i z innych jeszcze względów. Koncentrując w sobie rozmaite elementy amerykańizmu, będąc porównie historykiem i prawnikiem, politykiem i oficerem, myśliwym i literatem, marynarzem i urzędnikiem, nie w ostatnim zaś rządzie i dobrym ojcem rodziny, reprezentuje Roosevelt jakby przekrój całej Ameryki swego czasu.

Dwa są typy ludzi wielkich: jeden, który czas swój przewyższa o głowę, pełną nowych, niepcjętych, twórczych idei, — i drugi, który czas swój ogarnia rozpiętością swego ducha. Roosevelt jest wielkim człowiekiem drugiego typu.

Roosevelt to Ameryka. Przynajmniej jedna jej strona. I nie tylko Ameryka jego czasu, lecz Ameryka wieczna, Ameryka — rasa, Ameryka — typ. Jest ona w nim, w jego krwi, w wibracjach jego nerwów, komórkach jego mózgowia, w tempie jego reakcyj psychofizycznych, w jego postawie wobec świata, w strukturze jego umysłu, w napięciu jego celów, w energetyce jego poczynań, w tych głębokich pokładach żywotności, z których urosła owa oszałamiająca potęga ekonomiczna i polityczna Ameryki nowoczesnej. Magna pars tej potęgi to przecież sam Roosevelt, twórca programu imperjalistycznego, którego główne punkty stanowiło: stworzenie wielkiej floty i wojska, owładnięcie kanałem Panama, wpływ na Amerykę Południową i udział w polityce międzynarodowej. I dlatego, cokolwiek mówi Roosevelt, mówi Ameryka. I dlatego, co mówi Roosevelt o Ameryce, o „amerykanizmie“, to mówi Ameryka o sobie samej i to stanowi dla poznania Ameryki dokument pierwszej, niesfałszowanej wagi.

Z owych niepożytych źródeł energii wywodzi się również i literacka działalność Roosevelta. Jego „literatura“ jest tylko dalszym ciągiem jego życia, praktyki. Jednym z jego wyrazów i narzędzi zarazem. W Ameryce nie odbiegło jeszcze słowo od czynu tak daleko, jak w Europie. A u Roosevelta mniej, niż u kogośkolwiek innego. Roosevelt literatem nie jest. Pisze jednak znakomicie. A dorobek jego literacki jest obfity i różnorodny. Obejmuje około 20 tomów. W „Ranch Life and the Hunting Trail“, w „The Wilderness Hunter“ i i. opisuje z spostrzegawczością uczonego zoologa i miłością myśliwego amerykańską przyrodę: stepy, lasy, góry, faunę i t. d., w „Winning of the West“ daje źródłową pracę historyczną o kolonizacji amerykańskiego Zachodu; historycznemi są też prace, zawierające portrety wielkich Amerykanów: Washingtona, Granta, Morrisa i t., tudzież „Navaf War of 1812“ i „History of New York“; w „The Rough Riders“ kreśli swoją kampanję na wyspie Kubie; w szeregu szkiców, mów, studjów, i traktatów („American Ideals and other Essays“, „Speeches, Letters and State Papers“ i i.), roztrząsa zagadnienia polityczne, administracyjne, etyczne i filozoficzne.

Nie szukać w nich rewelacji ani odkryć nowych łądów w duchowem Mare tene-

brarum. Idee Roosevelta nie olśniewają oryginalnością, nie zatrważają głębią. Są proste, na pozór nawet przeciętne, oklepane. Przynajmniej dla czytelnika europejskiego. Mówimy: na pozór, bo tylko wtedy, gdy je wyrwiemy z całości, gdy je pozbawimy tętna żywego prądu myśli, żywej duszy. Bowiem to, co je czyni interesującymi, to właśnie ta odrębna dusza, która przez nie przeziara: barbarzyńsko prosta i barbarzyńsko silna, dusza naiwna i szczerą, dziecięcą i hardą. Prawdziwie: z punktu widzenia filozoficznego nie odbiegają refleksje Roosevelta zbyt daleko od głębin myślowych w takim np. „Żywocie człowieka poczciwego“ naszego Mikołaja Reja z Nagłowic, a od „Refleksyj“ Pascala np. dzieli je — ocean subtelności i kultury myślowej. Lecz wypowiada je Roosevelt i — to wystarcza. Wypowiada je Ameryka i to odsłania najgłębsze perspektywy. Wypowiada je Ameryka przedwojenna, przedwilsonowska.

Ameryka przechodzi w ostatnich dziesięcioleciach przemianę, o jakiej wyobrażenia nabrać możemy, porównując ją np. z rewolucją bolszewicką. Porównanie i skądinąd pouczające. Chodzi o sprawy co najmniej równie wielkie i ważne, jak te, które w Rosji wywołały

potworny kataklizm społeczny. Chodzi o zupełną przebudowę ustroju społecznego i reorganizację form rządu, a co więcej, chodzi o rewizję etycznych zrębów całej kultury. I ten proces przemiany strukturalnej dokonywa się w Stanach Zjednoczonych od lat dziesiątków. Dokonywa się jednak — mówiąc terminami biologicznymi — nie w sposób mutacyjny, lecz transformacyjny, ewolucyjny, nie wśród gwałtownych wstrząśnień, lecz drogą ciągłych przeobrażeń.

Zacząło się to od chwili, gdy w latach 70-tych Ameryka agrarna przepoczwarzyła się nagle w Amerykę przemysłową. Niespodziany zgoła, ekspansją swą i tempem przekraczający wszelkie doświadczalne miary rozwój wielkiego przemysłu, łącznie z polityczną konsolidacją i wielkomocarstwowym stanowiskiem, jakie zajęły Stany Zjednoczone, wytworzyły nowe, specyficznie amerykańskie zjawiska, wobec których panujące tam dotąd formy bytu ekonomicznego oraz tradycyjny ustrój polityczny okazały się zupełnie niewspółmiernymi. Niewspółmierność ta rosła coraz bardziej, wywołując coraz groźniejsze zgrzyty w olbrzymiej maszynie społecznej i coraz głębszy rozterk w amerykańskiej duszy.

Ameryka rolnicza raczej rozpraszała ludzi, niż ich skupiała. Jest to naturalny skutek, towarzyszący rolnictwu, zwłaszcza wielkie-

mu, wogóle. Powtóre: ta Ameryka pionierów, Ameryka latyfundiów niezmiernych, plantacyj i farm, Ameryka, walcząca z grozą dzikiej natury i dzikszymi jeszcze ludźmi, opierała się całkowicie na silnych indywidualnościach, przedsiębiorczości jednostek, ich woli i rozumie, oraz na szeroko zakreślonej wolności. Obie te zasady: indywidualizmu i wolności, tak organicznie zespolone z całością kształtem amerykańskich warunków bytu, stały się z czasem zasadami amerykańskiego ustroju politycznego, jakoteż amerykańskiej etyki i kultury. W ustroju politycznym znalazły one wyraz w nader liberalnej konstytucji republikańskiej, opartej na zasadzie jak najmniejszej ingerencji rządu, — w kulturze zaś jako wartości narodowe, tradycją uświęcone, niezruszone.

Ten stan patriarchalnej prostoty trwał, póki nie powstała Ameryka wielkoprzemysłowa. Poczęła ona wytwarzać owe olbrzymie skupiska ludzkie w miastach - potworach, miastach - fabrykach. Zaczyna się okres wywyższonej po ostatni fibrze wytwórczości, szaleńczej pracy i gromadzenia majątków. A przede wszystkim zaczyna się okres trustów, owych straszliwych w swej potęgze organizacyj kapitalistycznych - wytwórczych, które w krótkim stosunkowo czasie objęły całą Amerykę siecią tak gęstą, nieprzeniknioną, iż odtąd nikt się

przez nią prześliznąć nie zdołał. Każdego chwyciła ona w swe oka. Stary, czcigodny indywidualizm amerykański zaczął się giąć i kruszyć. Kilku, kilkunastu mocarzy tylko jeszcze go reprezentowało, reszta wolnych „obywateli“ poszła w ich niewolę. Ginęła dawna wolność amerykańska, a wraz z nią zanikało to, co dotąd zapewniało Ameryce wieczystą świeżość i młodość, t. j. nieustanny dopływ źródłanych energii z głębokich złożysk ludowych. Z czasem zawładnęły trusty i rządem. Liberalny rząd Stanów Zjednoczonych, oparty przez twórców wielkiej republiki na innych zgłę założeniach, okazał się bezsilnym, bo nieprzystosowanym do nowych warunków, które z taką bezprzykładną nagłością wyrosły mu ponad głowę. Słaby już dzięki rozdziałowi swych funkcji na trzy instancje: rządu, kongresu i trybunału, stał się ostatecznie narzędziem powolnem w ręku trustmanów, przeprowadzających swą wolę przez oddanych im członków rządu i kongresu, którymi często byli oni sami.

Obroża, którą trusty zarzuciły na Republikę, zaciskała się coraz mocniej na jej gardzieli. Poczęła jej grozić śmierć z uduszenia.

Wtedy obudził się zdrowy odruch. Narodziła się amerykańska demokracja. Rozpoczęła się walka przeciw trustom, przeciw plutokracji, przeciw oligarchji, walka

o wyzwolenie, o wolność, o prawo do bytu i rozwoju dla każdego, o demokrację, o lud. Walka niesłychanie ciężka i oporna wobec potęgi, jaką reprezentowały, wpływów, jakimi rozporządzały trusty. Zaczęła się za Roosevelta właśnie, który jeden z pierwszych dojrzał wiszące nad Unją niebezpieczeństwo, i wbrew partji, która go niosła, a jedynie z gorącego patriotyzmu zadał pierwszy w surmę bojową.

Lecz Roosevelt w walce tej padł. Nie sprostał jej. Ten bóg energii osobistej, ten człowiek o żelaznej ręce, nie zdobył się na siłę, zdolną skruszyć złotego cielca. Szedł na kompromisy wówczas, gdy położenie wymagało środków radykalnych. Padł w r. 1909. Trusty zatriumfowały. Nastąpiła prezydentura Tafta. Lecz wtedy i lew demokracji sprężył się już do skoku. I kiedy Taft umarł, runęły amerykańskie Okopy św. Trójcy: demokracja powołała do Białego Domu „swojego“ męża.

Był nim Profesor Woodrow Wilson.

Wilson stanowi antytezę Roosevelta. Nie neguje go jednak; uzupełnia go tylko; uzupełnia go o całą odmienność indywidualnej swej postawy wobec życia, a zwłaszcza wobec zagadnienia, któremu na imię: Ameryka.

Acz starszy od Roosevelta o dwa lata (ur. w r. 1856), wydaje się jednak umysłem o wiele nowocześniejszym. — Ten zrazu adwokat w małej, prowincjonalnej mieścinie, Atlanta, potem nauczyciel w Bryn Maur College, następnie profesor prawa na uniwersytecie Princeton, jeszcze później gubernator Stanu New - Jersey, wybrany wreszcie w 57 roku życia prezydentem Stanów Zjednoczonych, ten uczony autor dzieł o „Rządach Kongresu“, „Państwie“, „Historji amerykańskiego Narodu“ i i., góruje nad Rooseveltem i głębią spojrzenia i pojemnością serca. Umysł to filozoficznie wykształcony, serce głęboko czujące.

Z tego serca wypłynął potężny nurt miłości i sprawiedliwości, którą Wilson otoczył wszystkich cierpiących i skrzywdzonych, jednostki, klasy społeczne, narody. Walka przeciw trustom w imię wyzwolenia „małego człowieka“, udział Ameryki w wojnie światowej, ukoronowany wiekopomnymi „punktami Wilsonowskimi“, wspaniała filantropja (reprezentowana czasu wojny przez jego przyjaciela Hoovera), oto trzy ramiona tego samego strumienia miłości, który początek swój bierze w wielkiem sercu Wilsona.

Ameryka stanęła dziś na rozdrożu: pierwotny indywidualizm ustąpić musi przed nowoczesnym duchem demokratycznym. Problem jednak brzmi: jak złączyć twórczą siłę postawy indywidualnej z demokratycznym duchem miłości i podporządkowania.

W tym wielkim dylemacie reprezentuje Roosevelt całą strukturą swej jaźni raczej postawę indywidualną, Wilson demokratyczną. Obaj są protagonistami jednego z najpotężniejszych dramatów dziejowych.

Dramat ten dotąd nierozegrany jeszcze, acz obaj protagoniści ustąpili już z sceny.



O PRAWDZIWYM AMERYKANIZMIE

(Mowa wygłoszona w kwietniu r. 1894)

MY, AMERYKANIE, mamy jeszcze wiele poważnych zadań do rozwiązania, wiele groźnych niebezpieczeństw do odparcia, wiele czynów do zdziałania, — wierzę zaś mocno, że nie nie zbraknie nam potrzebnej ku temu mądrości ni siły, energii ni dzielności. Nie wolno nam jednak upiększać faktów, nie wolno nam ani nierozsądnemu optymizmowi się oddawać, ani też poadać w trwożliwy i niegodny pesymizm.

Ze wszystkich ludów ziemi nasz lud ma największą przyszłość przed sobą. Zażywamy nadzwyczajnych przywilejów, lecz grożą nam też i nadzwyczajne niebezpieczeństwa. — Wszystko każe przypuszczać, że albo runiemy głąboko, albo też dźwigniemy się wysoko. Co do mnie, żywię to mocne przekonanie, że zatriumfujemy ostatecznie, jeżeli tylko nie będziemy zamykali oczu na grożące nam niebezpieczeństwa. Winniśmy raczej sami z zupełnym spokojem poszukać i zbadać owe niebezpieczeństwa. Winniśmy stwierdzić wprzód, że

takie niebezpieczeństwo istnieje, a następnie niezwłocznie i ze wszech sił je zwalczać.

Różnego rodzaju są niebezpieczeństwa a każde z nich wymaga, by je traktować odrębnie; we wszystkich jednak potrzeba nam nieodzownie jednego, mianowicie: intensywnego i silnego amerykańizmu. Nie zmożemy nigdy odczających nas niebezpieczeństw, nie dokręcimy nigdy niczego wielkiego, nie osiągniemy nigdy owego wzniosłego ideału, jaki stawili przed nami założyciele i obrońcy potężnej naszej republiki, jeśli duszą i ciałem, czynem i słowem nie będziemy Amerykanami, przejętymi nawkrót poczuciem odpowiedzialności, którą nakłada na nas nazwa Amerykanina, i dumnymi z wielkiego przywileju, pozwalającego nam nazwę tę nosić.

Zagadnienie amerykańizmu ma dwie lub trzy strony, to też w podwójnym lub potrójnym sensie można posługiwać się nim na określenie czegoś, co stanowi przeciwieństwo niedołęstwa i opaczności.

Przedewszystkiem zauważmy jedno: że przez słowo „amerykanin“ rozumieć należy w szerokim znaczeniu obywatela całego państwa w przeciwstawieniu do parafianina, połączętego całkowicie interesami lokalnymi.

W polityce, literaturze i sztuce winniśmy bronić się przed tem, by nas zarażał ów niezdrowy duch parafiańszczyzny, owo ubó-

stwianie małej gminy kosztem wielkiego narodu, skąd w dalszym ciągu płynie t. zw. patriotyzm lkalny, patriotyzm polityków zaściankowych.

Nadmierna wybujałość tego ducha stanowiła też główny szkopuł, przeciw któremu walczyć musiały stare republiki greckie, średniowieczne republiki włoskie i małe państwa niemieckie XVIII wieku. Duch patriotyzmu lkalnego, brak świadomości narodowej to również jedna z głównych przyczyn bezrządu w państwach południowo-amerykańskich, która przeszkodziła stworzeniu wielkiego hiszpańsko-amerykańskiego Związku od Rio Grande aż po Pizylądek Horn: w miejsce owych wszystkich drobnych, niepewnych, do ciągłych rewolucyj skłonnych i nie ustępujących sobie wzajemnie pod względem niemocy państw.

Tego ducha parafiańszczyzny czuje się dziś mniej, niż dawniej. Tylko czasem jeszcze przejawia się on tu i ówdzie. Winniśmy się wystrzeżać mówienia o północnej i południowej, wschodniej i zachodniej sztuce i literaturze. Joel Chandler Harris jest z pewnością pisarzem narodowym, podobnie też i Marek Twain. Piszą oni nie tylko dla Georgji, Kalifornji czy Missouri, lecz równie dobrze dla Illinois i Connecticut. Piszą jako Amerykanie i dla każdego, kto umie czytać po

angielsku. St. Gaudens mieszka w Nowym Jorku, jednakże jego pisma noszą na sobie w tym samym stopniu piętno Bostonu, co i Chicaga. Bogata literatura i rozwinięty należycie smak literacki posiadają dla Stanów Zjednoczonych wielkie znaczenie. To zaś, czy Nowy Jork, Boston, Chicago czy też San Francisco tworzyć będzie ośrodek literatury i sztuki, to obojętne zgęła.

Zagaćnienie amerykanizmu w szerszym zakresie ma też i drugą stronę jeszcze.

Polityka zaściankowa, ciasny, ograniczony patriotyzm lokalny są opaczne, gorszym jednak jest brak wszelkiej miłości ojczyzny. Wprawdzie paru uczonych chciałoby nas przekonać, że w przyszłości nie będzie się uważało miłości ojczyzny za cnotę, lecz co najwyżej za pewien przejściowy etap umysłu ludzkiego w drodze do stanu, w którym patriotyzm ogarniać będzie całą ludzkość i świat cały. Może to i prawda. Lecz przyszłość, o której mówią nam owi uczeni, jest dla nas jeszcze zupełnie nieuchwytna. Uczeni wyprzedzają czas swój tak bardzo, że pokolenie obecne wcale się o nich troszczyć nie potrzebuje. Być może, że w owej odległej przyszłości, o której niezdolni jeszcze jesteśmy wyrobić sobie wyobrażenia, nie będzie się już uważało patriotyzmu za cnotę, podobnie jak i z naszego ślubu cywilnego natężać się może będą ludzie wówczas żyją-

cy. Lecz w stosunkach, jakie istnieją dzisiaj i jakie istniały w dwu czy trzech tysiącleciach ostatnich, a jakie najprawdopodobniej istnieć też będą jeszcze przez dwa lub trzy tysiąclecia następne, nie utraciły swego wielkiego znaczenia dwa słowa: własne ognisko i własna ojczyzna. Nie wykazują one dotąd żadnych znamion zaniku. Zdrada i wiarołomstwo zaliczane są wciąż jeszcze do najgorszych zbrodni.

Wprawdzie, kto nie popełnia zdrady, nie jest jeszcze przez to samo dobrym obywatelem. Amerykanin, który duszą swą łągnie do Europy, który nie czuje w sobie powołania, by dokonać czegoś dobrego po tej stronie Oceanu, który zatracił miłość ziemi rodowitej, nie jest zdrajcą, lecz niewyżytecznym, niepożądanym krajowcem. W naszym zaś świecie politycznym stanowi on równie niebezpieczny żywioł, jak cudzoziemiec, człowiek obcy. Nic pewniej i szybciej nie czyni człowieka niezdolnym do zrobienia czegoś porządnego w świecie, jak to bezsilne uczucie, które nazywają kosmopolityzmem.

Nie dość na tem, by koloniści, którzy się tu osiedlają, stawali się obywatelami amerykańskimi. Koniecznym jest też, by ci, którzy Amerykanami są już z urodzenia i pochodzenia, nie wyrzekali się praw swego urodzenia i w niepojętym a pogardy godnym bezrozu-

mie nie wracali i nie klękali przed owymi wspólnymi bczyszczami, których się ojcowie nasi wyprzysięgli byli.

Nie do wiary prawie, że przestrzegać trzeba Amerykanów przed komizmem, na jaki narażają się w oczach każdego rozumnego człowieka, małpując inne narody kulturalne. A jednak przestroga ta nie jest zbyteczna, nawet, gdy idzie o niejednego, który cieszy się wyskiem poważaniem w świecie literackim czy artystycznym, lub który uchodzić pragnie za człowieka, nadającego ton w życiu towarzyskiem.

To, co pierwotne, zawsze stawiać należy wyżej nad to, co naśladowane, choćby owa rzecz naśladowana była nie wiem jak doskonała. A cóż mówić dopiero o głupcu, naśladowującym to, co on sam znacznie lepiej zrobić potrafi? Chociażby nawet słuszność mieli owi małpujący Amerykanie, uważając inne narody za lepsze od własnego, pozostanie to jednak zawsze prawdą, że przedni Amerykanin pięćdziesiąt razy tyle jest wart, co pośledni surogat Francuza czy Anglika. Można przyjąć napewne, że ci z naszych rodaków, którzy są przekonani o niższości Ameryki, choćby skądinąd stali wysoko, muszą posiadać jakąś wadę w swem wychowaniu moralnem czy duchowem. Szeroka społeczność, mająca miłość ojczyzny w krwi i kościach,

i zdrowa na duchu, ma wszelkie przyczyny pō temu, by z szyderstwem i gniewem spoglądać z góry na tych odszczepieńców i niedołęgów.

Wszelkie zakorzenicne zło, choćby ono było zjawiskiem najznamienniejszem dla naszego kraju, musimy tępić do gruntu. Lecz wszystko, co dobre i dzielne, musimy zachowywać bez względu na to, skąd pochodzi. Braki w innych ustrojach państwowych nie mogą być dla nas pociechą za te braki, jakie istnieją w naszym własnem państwie. Jeżeli lizui i dworak jest oszustem, to wcale niemniejszym szelmą jest i demagog.

Mimo błędów naszych i wad niema na świecie całym kraju, któryby tak, jak nasz, dawał każdemu, umięjącemu tylko z niej korzystać, możność osiągnięcia wyższego szczebla. Lecz nikt z nas nie zdoła zrobić niczego przządnego, jeśli nie zabierze się do tego w sposób iście amerykański. Owo, nie całkiem jeszcze u niektórych ludzi wygasłe uczucie, żeśmy przedtem byli zależną kolonją, obok przesadnego oglądania się na opinię Europy, spowodowało, że nie zdołano wykonać wszystkiego, co uczynić należało. Tam, gdzieśmy najniezależniej wystąpili, tam też uzyskaliśmy najlepsze rezultaty.

Tym zawodom, które bez niewolniczego naśladownictwa a w sposób rozumny umiały

korzystać z wynalazków zagranicznych, zawdzięcza kraj nasz największych swych mężów. Nasi żołnierze, nasi mężowie stanu i mówcy, nasi odkrywcy i pionierzy, mężowie, którzy stworzyli prawa nasze i dbali o ich wykonywanie, wszyscy ci, których potężna wola stworzyła nasz wielki, podziwu godny dobrobyt materialny, — byli ludźmi. korzystającymi: wprawdzie z wynalazków wszech czasów, niemniej przeto myślącymi, pracującymi, żyjącymi i zwyciężającymi, jako Amerykanie. W sumie dokonali ci ludzie przez krótki okres naszego bytu narodowego więcej, niż stworzone w jakimkolwiek innym kraju.

Natomiast w tych zawodach i gałęziach wytwórczości, w których ile możności jak najbardziej stosowaliśmy się do zwyczajów i sposobów europejskich, działaliśmy najmniej. Tak dzieje się i dziś jeszcze, co tem wyraźniej występuje wtedy, gdy Amerykanin osiedzie w Europie. Wskutek swej nadkultury, drażliwości i nerwowości staje się on Europejczykiem drugiej klasy, zarazem zaś traci ową rozwagę i odwagę męską, konieczną, by ostać się zwycięsko w twardej walce o narodowy nasz charakter. Zważmy tedy, że taki człowiek, nie stawszy się Europejczykiem, przestał tylko być Amerykaninem. Staje się po prostu niczem. Wyrzuca wielką swą monetę

za d'obną i nawet tej drobnej nie dostaje z powrotem.

Malarz, udający się do Paryża nie po to, by studjować tam przez parę lat, lecz z tem mecnem postanowieniem, by osiąść tam na stałe i pójść w głęboko ryte ślady swych poprzedników, zamiast żłobić własną swą bruzdę i paść przytem lub zwyciężyć, taki malarz traci zupełnie swą szansę stworzenia czegoś odrębnego. Musi poprzestać na tem, że osiągnie co najwyżej to, co w znacznie wyższym stopniu osiągnięto już przed nim.

Nie ma on najczęściej zmysłu dla tego wszystkiego, co wielkie i malownicze, a co ma przed oczyma każdy, zdolny czytać w księdze terażniejszości i przeszłości Ameryki.

Podobnie też dzieje się z pisarzem średniej miary, co to z swem przeczuleniem i kobiecym wydelikaceniem znajduje, że życie po tej stronie Oceanu jest zbyt surowe i szorstkie, — i niezdolny cdegrać roli męża wśród mężów, szuka schronu przed światem, który duchy silniejsze od niego tylko umacnia. Taki uciekinier pisać może dobre i zgrabne wiersze, artykuły i powieści, lecz nigdy dzieła jego nie wytrzymają porównania z dziełami współzawodnika, który jest dość silnym, by stać na własnych nogach, i który pracuje w własnej swej amerykańskiej manierze.

Toż samo i uczony, który młodość swą przepędza na jakimś uniwersytecie niemieckim i całe swe życie pracować umie tylko na roliach pięćdziesiąt razy zoranych już przez pługi niemieckie.

Toż samo wreszcie i owi nierozumni rodzice, którzy dzieci swoje wychowują zagranicą, zapoznając całkowicie fakt, zupełnie jasny dla każdego człowieka rozsądnego, że Amerykanin, który pragnie żyć i działać w własnym kraju, wyrósć musi tylko wśród własnych rodaków. To kolonialne pojmowanie rzeczy, ten małoduszny, zasługujący na pogardę podziw dla wszystkiego, co zagraniczne, ta obawa przed stanieniem na własnych nogach, występuje najbardziej w pewnych północno - wschodnich miastach, wśród ludzi, którzy pragną uchodzić za nadających ton w t. zw. świecie i którzy pod pewnym względem są nimi też w istocie.

Uznajemy pożytek porządnej i zasłużonej rozrywki, jednakowoż pragnienie wygodnego życia nie może stanowić jedyne, wyłączonego celu. Uznajemy jeszcze większy pożytek tych, którzy nie mają żadnego zawodu praktycznego, lecz cały swój czas poświęcają polityce lub filantropji, nauce lub sztuce. Wszelako ludzie, spędzający czas swój na niczem, są klątwą społeczeństwa, a stają się elementem śmiesznym i szkodliwym w świecie pol-

tycznym, gdy wszelkich sił dokładają, byle przyśwoić sobie najgorsze tylko a nie najlepsze właściwości zamorskich swych towarzyszy.

Trzecie znaczenie, w jakim używać można słowa „amerykanizm“, dotyczy naturalizacji nowych przybyszy. Musimy przerobić ich na Amerykanów pod każdym względem: w mowie, w politycznych ich poglądach i pojęciach zasadniczych, oraz w wyobrażeniach o stosunku między państwem a kościołem. Chętnie witamy każdego Niemca czy Irlandczyka, który stać się chce Amerykaninem, lecz nie nam po cudzoziemcu, który nie chce wyrzec się swojej narodowości. Nie potrzeba nam Germano - Amerykanów ni Iro - Amerykanów, pragnących stanowić osobną warstwę w naszym życiu politycznym i towarzyskim. Na nic nam oni, nam trzeba tylko Amerykanów, a jeśli oni są nimi całkowicie, to już nam to obojętne, czy są pochodzenia niemieckiego czy iryjskiego. W naszym zdrowym, amerykańskim ustroju społecznym nie odczuwamy potrzeby jakiegoś germano - amerykańskiego czy iro - amerykańskiego szczepu. Są to tylko niegodne, demagogiczne sztuczki, jeśli dla pozyskania tego rodzaju głosów wstawiła się w program partyjny osobny paragraf. Na nic się nam nie zdadzą ludzie, nie działający i nie głosujący całkowicie, jako Amerykanie. Rów-

nie nie tęsknimy za ludźmi, którzy popisują się w polityce swemi religijnemi przesadami, jak i za takimi, którzy zwracają uwagę na stan i naradcwość. Jesteśmy płomiennymi zwolennikami nauczania publicznego. Nauka ma być udzielana jedynie w języku angielskim i w żadnym innym. Jesteśmy przeciwni rozdziałowi funduszu szkolnego oraz czerpaniu z skarbu państwowego na szkoły odrębne. Szkół subwencionowanych, odrębnych państwo w żadnej formie nie ma potrzeby uznawać.

W tym samym stopniu potępiamy i to, gdy na szalę wagi rzuca się czyjąkolwiek wiarę. Żądamy, by wszystkich obywateli: protestantów i katolików, izraelitów i bezwyznaniowców traktować równomiernie i chronić ich w ich prawach.

Nasz protest przeciw odrębnym, przez państwo subwencionowanym szkołom nakłada na nas obowiązek dbania o to, by w szkołach publicznych nie czyniono żadnych różnic ze względu na wiarę. Inspektorów, nauczycieli i uczniów traktować należy zupełnie równo, bez względu na ich wiarę. Hańbą jest przy jakimkolwiek głosowaniu na urzędnika państwowego czy miejskiego pytać o jego wiarę.

Piętny prąd emigracyjny ku naszym wybrzeżom przyniósł z sobą wiele dobrego, ale też i wiele pośledniego materiału. Czy do-

bry cdniesie zwycięstwo nad poślednim, zależy jećynie od tego, czy przybysze stoplą się całkewicie z naszym życiem narodowem czy też nie, czy przestaną być Europejczykami i staną się Amerykanami: takimi samymi, jak my.

Więcej niż trzecia część ludności Stanów północnych to obcy z urodzenia czy pochodzenia. Bardzo wielka ich ilość jest już zupełnie tu znaturalizowana, jak np. potomkowie purytanów albo knikerbokerów, i ma swój pełny i uczciwy udział w dobrobycie naszego ludu. Imigranci lub synowie imigrantów, którzy Iesu swego nie wiążą całem sercem i z pełnem zaufaniem z naszym losem, lecz kurczowo trwają przy języku, obyczajach, sposobie życia i myślenia Starego Świata, przez nich opuszczonego, szkodzą zarówno sobie samym, jak i nam. Jeżeli zostaną żywiołem wrogim, jeśli nie rozpuszczą się w nas, jeśli mieć będą interesy różne od naszych, to twczyć będą jeno przeszkody na drodze życia narodowego i sami niczego dobrego po tem spodziewać się nie mogą.

Korzyść to niewypowiedzianie wielka dla imigranta, stać się obywatelem amerykańskim. Nazwa Amerykanina jest tytułem zaszczytnym. Kto o tem myśli inaczej, ten nlema prawa nosić tego tytułu i, jeśli jest przybyszem z Europy, musi czem prędzej tam wrócić.

Człowiek, który się tu nie naturalizuje, nie może nimito pozostać nadal Europejczykiem. Staje się niczem. Albowiem żadną miarą nie może imigrant pozostać tem, czem był dawniej, tj. człowiekiem społeczności Starego Świata. Jeśli próbować będzie mówić w dalszym ciągu ojczystym swym językiem, to po kilku pokoleniach wyrodzi się ten język w jakiś szpotny żargon. A jeśli przechowywać będzie stare swoje zwyczaje i nałogi, to w przeciągu krótkiego czasu stanie się nieporadnym dziwakiem. Ma on już Stary Świat poza sobą i dłużej z nim w związku pozostawać nie może. Jeżeli pragnie dojść z czasem do czego, to musi bez zastrzeżeń i całą duszą oddać się życiu, którego sam sobie poszukał.

Jest rzeczą nieodzowną, by zapomocą surowszych praw ograniczyć i uregulować imigrację, a zwłaszcza powstrzymać robotników, ciężających na naszym rynku pracy, tudzież te rasy, które z trudem tylko mieszają się z naszą, a wreszcie niecne jednostki z rozmaitych narodów, i to nie tylko zbrodniarzy, idjotów i żebraków, lecz także anarchistów w rodzaju takich, jak Most i D' Donovan Rossa.

Ze swojego stanowiska uczyni imigrant niewątpliwie jak najrozumniej, jeśli stanie się Amerykaninem bez reszty, z naszego zaś stanowiska mamy prawo żądać tego od niego. Jako dobrzy towarzysze podajemy, nie py-

tając o wiarę ani miejsce urodzenia, rękę na przywitanie każdemu, kto przybywa do nas z uczciwym zamiarem, by na równi z nami stać się dobrym obywatelem Stanów Zjednoczonych. Lecz mamy prawo, i jest to naszym obowiązkiem, domagać się by stał się nam naprawdę i nie przeszkadzał nam najróżnorodniejszymi przesadami przeniesionymi z Starożytności. Niejednego musi się on wyrzec. Tak np. musi zrozumieć, że w ustroju amerykańskim na anarchję, w jakiegokolwiekby ona zresztą formie występowała, miejsca niema, a taksamo na tajne stowarzyszenia, które mają za cel: mord tu czy zagranicą. Nadto musi on wiedzieć, że zaprowadzono u nas bezwzględną wolność wyznania i bezwzględny rozdział kościoła od państwa. W miłości zatem do wspólnej naszej ziemi musi zapomnieć o religijnych punktach spornych i o religijnych antypatiach starej Europy i musi być dumnym z tego, z czego my wszyscy jesteśmy dumni. Musi na maszcie swoim wywiesić naszą flagę i nie umieszczać pod nią żadnej innej. Musi święcić urodziny Washingtona zamiast urodzin królowej lub cesarza, a dzień 4. lipca zamiast dnia św. Patryka. Musi nasze polityczne i społeczne zagadnienia traktować dla siebie samych, nie wnosząc w nie starych różnic między Anglią a Irlandją, czy między Francją a Niemcami, z którymi my nie mamy nic

wspólnego, i nie wikłając przez to jeszcze bardziej owych zagadnień. Przedewszystkiem zaś musi imigrant nauczyć się po amerykańsku mówić, myśleć i żyć.

Dzisiejszy imigrant wiele nauczyć się może od dawnych imigrantów, którzy przybyli do Ameryki przed wojną o niepodległość. Jak i dziś, byliśmy już wówczas narodem krwi mieszanej. Wiele najslawniejszych nazwisk z tej wojny należy do ludzi, pochodzących od hugenotów, jako to: Jay, Sevier, Marion, Laurens. W ogólności hugenoci byli najlepszymi naszymi imigrantami. Prędkiej i rdzenniej, niż jakikolwiek inny naród, stali się cni Amerykanami w mowie, obyczajach i sposobie myślenia. Holendrom było już trudniej wżyć się w nowe warunki. Lecz wkońcu i im się udało i dobrze na tem wyszli. Jeden z najwybitniejszych generałów z czasu wojny o niepodległość, Schuyler, i jeden z prezydentów Stanów Zjednoczonych, van Buren, byli pochodzenia holenderskiego, lecz stanowisk swych, najwyższych w naszym kraju, dostąpili dlatego, że byli Amerykanami a przestali być Holendrami.

Podobnie też i Niemcy w Pensylwanji. Ci z nich, którzy się u nas znaturalizowali, przydali historii naszej od czasów Muehlenberga całego szeregu znamienitych nazwisk. Natomiast ci, którzy nie stali się Ame-

rykanami, tworzą po dziś dzień małą, mizerną gminę kłubową, nie mającą dla bytu Ameryki żadnego znaczenia.

Taksamo ma się rzecz z Irlandczykami, którzy dziejom wojny o niepodległość dali nazwiska takie, jak Carroll i Sullivan, a dziejom wojny domowej takiego człowieka, jak Sheridan, mężów, którzy byli Amerykanami i niczem innym, jak tylko Amerykanami.

Irlandczycy, którzy Irlandczykami pozostają i zajmują się jedynie polityką zagraniczną, mogą mieć nieznaczny tylko wpływ na życie amerykańskie, nie zdołają zaś nigdy dostąpić wyżyn, osiągniętych przez tych z pośród ich ziemiaków, którzy wkońcu stali się Amerykanami.

Doswiadczyli tego wszyscy ludzie bez wyjątku, którzy tu przybyli. Odnosi się to również w pełnej mierze do kościołów. Kościół, który pozostaje obcym w języku i duchu, skazany jest na zagładę.

Proszę mnie należycie rozumieć. Amerykanizm to sprawa natchnienia, przekonania i dążenia, z wiarą zaś i pochodzeniem nie ma nic wspólnego. Polityk, który kokietuje z głosami irlandzkiemi czy niemieckimi, albo Irlandczyk czy Niemiec, który głos swój oddaje jedynie gwoli niemu, zasługują na wzgardę, albowiem wszyscy obywatele tej republiki

winni głosować jako Amerykanie. Nie mniej pogardy godnym jest ten, kto głosuje przeciw dzielnemu Amerykaninowi dlatego tylko, że urodził się on w Irlandji czy w Niemczech. Szpetna to rzecz działać przeciwko komuś z powodu jego wiary czy z powodu pochodzenia, i wszyscy dobrzy obywatele winni się tego rodzaju próbami brzydzić. Skandynawczyk, Niemiec czy Irlandczyk, który stał się naprawdę Amerykaninem, ma prawo, by go stawiano na równi z każdym obywatelem. I ma nadto prawo do przyjaźni oraz towarzyskiego i politycznego poparcia ze strony swych współobywateli.

Wśród ludzi, z którymi stykałem się w towarzystwie, tudzież wśród tych, którzy należą do najlepszych moich przyjaciół i najwierniejszych współpracowników, znajduje się przypadkiem wielu takich, którzy urodzili się za morzem, w Niemczech, Irlandji, Skandynawji, a jednak nie łatwo byłoby mi wskazać pośród naszych tubylczych obywateli ludzi lepszych od nich.

Wkrócu nie mógłbym idealnej postawy naszych naturalizowanych współobywateli lepiej scharakteryzować, jak słowami pewnego amerykańskiego deputowanego, urodzonego w Niemczech, mianowicie czcigodnego Ryszarda Guenthera z Wisconsin. W mowie, wygłoszonej przy sposobności sprawy

Samoańskiej, powiedział on tak: „Wiemy równie dobrze, jak wszyscy inni Amerykanie, czego od nas obowiązek nasz wymaga. Chcemy dla naszego kraju pracować czasu pokoju, czasu zaś wojny, gdy zajdzie tego potrzeba, chcemy oń walczyć. Jeśli mówię: nasz kraj, to mam oczywiście na myśli nasz kraj adopcyjny, Zjednoczone Stany Ameryki. Wydosiła wazy się znowu z tyglu naszej naturalizacji, przestaliśmy być Niemcami, a staliśmy się Amerykanami. Miłości naszej do Ameryki nie należy mierzyć czasem naszego tu pobytu. Jesteśmy Amerykanami od tej chwili, w której wstąpiliśmy na ziemię amerykańską, aż do tej, w której złożą nas do amerykańskiego grobu. W razie potrzeby gotowiliśmy za Amerykę chwycić za broń. Ameryka jest pierwszym i ostatnim, Ameryka po wieki! Ameryka przed Niemcami! Ameryka przed całym światem! Ameryka w każdej doli! Nic, tylko Ameryka! Jesteśmy Amerykanami!“

Cześć mężczy, który wyrzekł te słowa. Wierzę, że wyrażają one uczucia większości naszych współobywateli, urodzonych poza granicami kraju.

My, Amerykanie, wtedy tylko umiemy dobrze wykonać przypadłe nam w udziale zadanie, jeśli imamy się rzeczy szybko i odważnie, jeśli niebezpieczeństwa wprawdzie znamy, lecz się ich nie lękamy ani ich nie unika-

my Przedewszystkiem więc stać nam przy sobie ramię przy ramieniu, nie pytając o pochodzenie czy o wiarę naszych towarzyszy, lecz tego tylko od nich żądając, by byli prawdziwymi Amerykanami, i byśmy wszyscy sercem, duszą, ciałem współdziałali dla czci i wielkości wspólnej naszej ziemi.

IDEAŁ AMERYKANINA

(Artykuł z lutego 1895 r.)

KAŻDY wielki naród zawdzięcza wielkim swym mężom nie tylko realne skutki ich czynów, nie tylko prawa przez nich ustanowione i wprowadzone w życie, czy też zwycięstwa, odniesione przez nich nad potężnymi nieprzyjaciółmi, lecz i nie dający się wymierzyć, ogromny wpływ idealny czynów ich i słów na charakter narodowy. Dla Stanów Zjednoczonych nie da się wprost dostatecznie ocenić realnych wyników dzieł Washingtona i Lincolna. Bez Washingtona nigdybyśmy może nie wyswobodzili się byli z pod panowania brytyjskiego a napewno nie stalibyśmy się jednym wielkim narodem, lecz pozostałibyśmy wciąż tworamia małych tylko, zwalczających się ustawicznie państewek, jak to dziś jeszcze ma miejsce w Ameryce Południowej. Bez Lincolna zaś nigdyby się nam zapewne nie udało doprowadzić do skutku naszej Unji, a gdyby się nam nawet było to udało, to nieunikniona przytem walka wryłaby się skutkami swemi głęboko w dzieje naszego narodu. Lecz nie tylko za te realne korzyści jesteśmy

wobec mężów cwych zobowiązań. Oprócz przywileju należenia do wolnego, zjednoczonego narodu, posiadającego połowę jednej części świata, oddziedziczył nadto każdy Amerykanin po Washingtonie i Lincolnie dobra idealne.

Oddziedziczyliśmy nie tylko państwo, zbudowane i wyswobodzone przy pomocy tych mężów: oddziedziczyliśmy również najlepsze i najszlachetniejsze wartości, zawarte w ich charakterze i życiu. Potęga Lincolna i jego współczesnych wyzwoliła tych, którzy się urodzili niewolnikami; fakt zaś tego wyzwolenia miał potem dalsze jeszcze i specjalne znaczenie. Oddziedziczyliśmy chwałę, cześć i cud tego zdarzenia. Dźwięk dzwonów, który powitał wygotowanie aktów wyzwolenia, huczy dziś jeszcze echem w odzie Whittiera. Kto rozumie, co wtedy działo się dla dobra ludzkości, temu serce zabije żywiej, niżby zabiło na wspomnienie największego chociażby czynu na polu przemysłu, czy innego zwycięstwa, odniesionego w walce o cel mniej wielki.

Oficerowie i żołnierze, którzy po latach pełnego zniejów życia obozowego, po latach krwawych i zaciętych zmaganiach ukończyli wojnę domową, byli dla nas czemś więcej prawie, niż samo zjednoczone państwo. Im też bezwątpienia zawdzięczamy, że od Oceanu A-

tlantyckiego aż po Rio Grande powiewa ten sam sztandar, i że w Stanach naszych żyje jeden wielki, zjednoczony naród; jeszcze cenniejszym jednak od tych realnych zdobyczy jest skarb naszych wspomnień o tej ciężkiej przeprawie. C teni wszystkim, co działali wówczas dzielni mężowie w walce o prawa, w walce o rzeczy, uważane przez równie dzielnych mężów za sprawiedliwe. Ten ból zrazu a potem triumf zaostrzyły i wyszlachetniły nasz zmysł dla wszystkiego, co dobre i wielkie w życiu.

Lecz tak, jak czyny wielkich mężów, którzy kraj nasz popchnęli naprzód, oddziaływiają też i czyny tych, którzy starali się powstrzymać postęp kraju, tylko że tamte działają zba wiennie, te zaś szkodliwie. Najniebezpieczniejszego typu człowieka los nam na szczęście zaoszczędził: oto nigdyśmy nie musieli walczyć przeciwko matactwom ambitnych awanturników wojskowych, którzyby zdolni byli stanąć na czele rewolucyjnego czy partyjnego ruchu. Dla wolnego kraju niema gorszego niebezpieczeństwa niż naukę, głoszoną młodzieży, że: jedną z dróg, wiodących do powodzenia i sławy, zdobyć można jedynie zapomocą siły zbrojnej, zapomocą obalenia rządu. Tego niebezpieczeństwa nam, Amerykanom, nie trzeba się obawiać; grożą nam za to inne. Zwalcza liśmy stale ową u ludów i u poszczególnych

jednostek panującą skłonność, by rzeczy, których rzeczywiste znaczenie jest nader nikłe, uważać za nadzwyczajnie ważne. Każde powodzenie wydaje nam się cennem; lecz często cenimy je nazbyt wysoko, zapominając o tem, że osiągnięte je przy pomocy środków, które każdy uczciwy człowiek ze wstrętem musi potępić. Niejeden z nas sławi kruczki, dzięki którym niesumienni ludzie ze świata finansowego i politycznego zdobywają powodzenie, jako oznakę szczególniejszej „obrotności“; inni znowu bronią gwałtu, mordy i anarchji. Gdyby tego rodzaju poglądy uzyskały większość, stalibyśmy się niegodnymi dziedzictwa ojców naszych a kraj nasz począłby zbliżać się do upadku.

Największe zło wyrządzają nie zbrodniarze, wystawieni na ogólną pogardę, lecz ludzie, których postęпки są zbrodnicze, których się jednak nie pogardą ściga, lecz ich oklaskuje. Czyż Benedykt Arnolda*) nie wiele nam, jako narodowi, przysporzył szkody, iako że każdy patrzy nań ze wstrętem. O wiele więcej szkodzą nam ci ludzie, którzy, aczkolwiek wrogami narodu będąc, utrzymują się zręcznie na swych politycznych stanowiskach; którzy głoszą nam, że nie potrzeba płacić dłu-

*) Komendant fortu Putnam, który podczas wojny o niepodległość wydał twierdzę wojskom brytyjskim.

gów, ani wogóle w sprawach pieniężnych przestrzegać uczciwości, a którzy mimoto cieszą się dalej poważaniem; którzy rozpowszechniają nauki anarchistyczne, nie posuwają się jednak do czynu, i wskutek tego też nie podpadają pod rygor prawa. Tysiące uwodzą tego rodzaju nauki na manowce, uwodziciele ich jednak nie tylko nie spotyka kara, lecz często nawet nagroda.

Nazbyt to niestety prawdziwe: tak, jak dobre, działa na nas również i złe, działane przez nas i przez innych; w obu zaś wypadkach następstwa są nie tylko natury materialnej. Wrogowie porządku publicznego są co najmniej równie niebezpieczni przez swój przykład, jak i przez swoje czyny. Niesumien-ny spekulant, który wzbogaca się oszukań-
czym wyzyskiwaniem bliźnich, który pieniędz-
mi swemi przekupuje sędziów, nagina prawo
a w sędziwym wieku ma zaszczyt być zalt-
czanym do milionerów, wywiera na młode po-
kolenie o wiele gorszy wpływ, niż zwyczajni
mordercy i bandyci: życie jego bowiem ol-
śniewa zewnętrznym blaskiem i kusi do naśla-
dowania. Niejeden kupiec, którego prawo kar-
ne dosięgnąć nie może, wyrządza o wiele wię-
cej szkód, niż ten, który wpada w ręce spra-
wiedliwości. Zawodowy agitator ze swojemi
lekkomyślnem, buntowniczymi mowami mniej
jest niebezpieczny od małodusznego, egoi-

stycznego kupca, który utrzymuje robotników swych w zależności od siebie, ażeby nie mogli zrzeszyć się przeciwko niemu. Kto takim drożami dochodzi do majątku, ten wraz z wspomnieniem swego nazwiska i postępowania przekazuje potomności żalosne dziedzictwo.

Nigdy nie można dość surowo osądzać tych bogaczy którzy z pogwałceniem wszelkich obowiązków zabiegają o to tylko, by zgarnąć jak najwięcej pieniędzy. Pozatem ludzi ci z pieniędzy swych czynią też bardzo nędzny użytek. Spekulują efektami i nicuczciwymi obligacjami kolejowemi; zapewniają synom swym możliwość bezużytecznego, próżniaczego życia albo też kupują na mężów dla swych córek obiężyświatów z znaczniejszych rodzin krajowych lub obcych. Tacy ludzie są o tyle niebezpieczniejsi, że najczęściej starają się błyszczyć świetnymi czynami: oto wznoszą szkoły, fundują wielkie kwoty na cele kościelne, licząc, dość często nie bez słuszności, że dzięki temu na resztę ich życia zaślepiony tłum zważać już nie będzie. Ten rodzaj ludzi w równej mierze nie dba o robotnika, którego gnębi, jak i o państwo, któremu szkodzi. Liczba ich niewielka; wielką natomiast jest liczba tych, którzy do tego typu się upodabniają. I im bardziej się don zbliżają, tem gorszą staje się to klątwą dla kraju.

Nie całkiem tak niebezpieczni są ludzie, znający i ceniący jedynie wartości materialne. Dla nich pieniądze są wszystkim. Niczem natmiast, cokolwiek się na wartość pieniężną wymienić nie da. Nie pojmują oni, że poeta może być często dla swej ojczyzny pożyteczniejszym od fabrykanta gwoździ. Nie rozumieją, że najbogatszy nawet rozkwit handlu nie zdoła zastąpić braku dóbr idealnych ani pomóc w rozwiązaniu potężnych problemów społecznych, któremi się dziś cały świat oświecony zajmować musi. Naiwny materialista jest zarazem człowiekiem niesłychanie krótkowzrocznym.

Są ludzie, dla których handel i majątek są czemś ważniejszym, niż życie i honor, czemś nieskończenie ważniejszym, niż wszelkie dążności idealne, — owe dążności, co przecież same jedne stanowią o wielkości narodu. Z naiwną wiarą sądzą oni, że owinięty w kawał nieocłonej materji bawełnianej anioł pokoju błagał ludzkość o to, by wszystkie swe siły poświęciła fabrykowaniu margaryny i dostarczaniu jej o ćwierć procentu na beczkę taniej od konkurenta, — albo też sprowadzaniu towarów bławatnych, kalkulujących się nieco taniej od fabrykatu krajowego. Ludzie ci są niedostępni żadnym szlachetniejszym motywom; nie czują zgoła cwego tętna, któremu świat zawdzięcza polityków, patriotów, wo-

dzów i poetów, i dzięki któremu naród staje się czemś więcej, niż prostym sztafażem skorpury ziemskiej.

Ludzie, chępiący się tem, że przyświeca im wysoki ideał handlowy, nie zastanawiają się nad tem, że taki ideał posiada właściwie bardzo nikłą wartość i że w żadnym z marnych państweczek rozbójniczych średniowiecza nie mogło życie być nędzniejszem, niż życie ludzi, dla których handel i przemysł są wszystkim, a słowa takie, jak honor, sława, odwaga, dzielność, wierność i bezinteresowność straciły wszelkie znaczenie. Oszczędność i pilność to rzeczy konieczne, lecz nie wszechmocne. Nasza troska o dobro kraju i narodu oprzeć się musi na zrębach z szlachetniejszego materiału, interes kupiecki nie starczy za jedyną podporę.

Mężowie, którym narodowy nasz charakter zawdzięcza najlepszą część swej istoty, zwalczali też zawsze z najbezwzględniejszą otwartością szkodliwe wybujałości swego czasu. Wielcy poeci i pisarze działali dla nas wiele. Jeszcze więcej prawie wielcy mówcy, których słowa, wzywające do wolności, jedności i uczciwości, znajdowały głośny oddźwięk. Najwięcej zaś mężowie, przemawiający do nas czynami swemi, lub ci, których słowa przez to nabierały szczególniejszego

uświęcenia i znaczenia, że wygłaszane były przez ludzi czynu. Wielkim bowiem może być naród wtedy tylko, jeżeli posiada energję czynu i jeśli pamięć jego przeszłości zasila się sokami ze zdrowych korzeni.



ŻYCIE PEŁNE

(Mowa wygłoszona w Chicago w kwietniu r. 1899)

STAJĄC przed wami, obywatele największego miasta Zachodu, — mieszkańcy Stanu, który obdarzył Amerykę Lincolnem i Grantem, — mężowie, ucieleśniający w własnej osobie z taką doskonałością wszystko to, co w charakterze amerykańskim jest najbardziej amerykańskiego, — nie potrzebuję głosić wam nauki o nędznej żądzy użycia. Chcę wam natomiast głosić naukę o życiu pełnym, o życiu pełnym wytężenia i pracy, trudu i walki. Pozwólcie, że wskażę wam na ów najwyższy szczyt powodzenia, jakiego nie osiągnie nigdy człowiek, szukający jeno wygody i spokoju, lecz jaki staje się jedynie wspaniałą nagrodą człowieka, nie dającego się odstraszyć żadnym niebezpieczeństwom, niepowodzeniom ni ciężkiej pracy.

Życie pełne lenistwa, życie, płynące spokojnie z braku ochoty czy siły do dokonania czegoś wielkiego — niegodnem jest zarówno narodu, jak i jednostki.

Nie żądam niczego innego, jak tylko tego, by każdy przyzwoity Amerykanin tę samą

miarę wymogów, jaką stosuje wobec samego siebie i swoich synów, stosował również wobec narodu amerykańskiego, jako całości, Któż z was bowiem powie synom swoim, że życie wygodne, że spokój jest najwyższym ideałem, do którego należy zdążać? Tem właśnie wy, mężowie z Chicago, uczyniliście miasto swoje wielkiem. i tem też wy, mężowie z Illinois, przyczyniliście się w swoim zakresie do wielkości Ameryki, iżście nie zdążyli do tego ideału, ani też starali się go urzeczywistnić. Pracujecie sami i synów swoich do pracy wdrażacie. A choć jesteście bogaci i zamożni, wpajacie mimoto w swych synów, że nie powinni wolnego czasu marnować na próżniactwie. Dobrze użyć wolnego czasu, znaczy tyle, że ten, kto nie jest zmuszony zarabiać na życie codzienne, ma obowiązek wykonywać ile możności jak najwięcej bezpłatnej pracy na polu nauki i literatury, sztuki i badań historycznych, tej pracy, której nasz kraj właśnie w szczególniejszym stopniu potrzebuje i która całemu narodowi przynieść może chlubę.

Nie mamy zgoła podziwu dla trwożliwego, miłującego pokój człowieka. Natomiast podziwiamy człowieka, który jest symbolem odwagi i zdobywczości; człowieka, który nie wyzyskuje swego sąsiada, przy boku swych przyjaciół trwa wiernie, a zarazem dość ma

męskich cnót, by z każdej poważnej walki życia wyjść wkońcu zwycięsko.

Bole:ny to cios, gdy się widzi, że nasze wysiłki idą w niwecz. Lecz gorzej jeszcze, nie podejmować nigdy żadnych poważnych wysiłków. Bez trudu nic się na ziemi osiągnąć nie da.

Kt. nie potrzebuje pracować, niechże korzysta z pracy już zdziałanej. Od obowiązku pracy zwolnieni są ci tylko, którzy sami już pierwsi lub których ojcowie z powodzeniem pracowali. Kto z tej wolności czyni pożyteczny użytek i pracuje dalej w innym kierunku, czy jako pisarz, czy generał, czy jako mąż stanu, czy odkrywca - podróżnik, ten zasługuje na podziw. Kto zaś korzysta z wolności w tym tylko sensie, że się o nic więcej już nie troszczy, lecz wiedzie żywot pełen samych rozkoszy, ten, chociażby nawet rozkosze te były zgola nieszkodliwe, staje się pasożytem, który przy pierwszej nadarzającej się sposobności niewątpliwie poczuje, iż nie dorósł do miary swych bliźnich.

Życie wygodne nie daje trwałego zadowolenia i czyni nas niezdolnymi do poważnej pracy. Jednem słowem, społeczność ludzka jest niezdrowa, gdy mężczyźni i kobiety nie prowadzą życia w całej pełni krzepkiego i zdrowego, i jeśli się dzieciom już od zarania ich życia nie wdraża, że należy być czyn-

nym i mężnie przebijać się poprzez wszelkie trudności, jakieby się w życiu nadarzyły.

Dla każdego mężczyzny winno to być rozkoszą, by działać po męsku, a więc śmiało się narażać, stawiać opór i pracować, utrzymywać samego siebie i tych, którzy pieczy jego są powierzeni. Kobieta winna być gospodynią, podporą i pomocnicą pracującego na życie męża, rozumną i skrzętną matką wielkiej ilości zdrowych dzieci.

W jedne: ze swych ponurych powieści nazywa *Laudet* macierzyństwo upiorem nowoczesnej, młodo zamężnej kobiety. Naród, u którego tak jest w samej rzeczy, musi być na wskrós zepsuty. Mężowie, wzdragający się przed pracą i wzdragający się przed uczciwą wojną, oraz kobiety, wzdragające się przed macierzyństwem, stąpają na krawędzi przepaści i za służują na to, by zniknąć z powierzchni ziemi, na której stanowią istne zgorszenie dla wszystkich krzepkich, dzielnych i rozumnych: mężczyzn i kobiet.

Jaką jednostką, takim jest i naród.

Fałsz to i tchórzostwo twierdzić, że ten tylko naród jest szczęśliwym, który nie ma historii. Trzykrotnie szczęśliwym jest naród z chlubną przeszłością! Bez porównania lepiej jest ważyć się na wielkie czyny i odnosić wspomane zwycięstwa, choćby się one niekiedy sřłatały z nieszczęsnymi przypadkami, niż

kupić się razem z tymi małodusznyimi, co to nie zaznali nigdy ani radości wielkiej, ani wielkiego cierpienia, ile że wloką żywot swój w szarym półmierzchu, w którym nieznane są ani zwycięstwa ani klęski.

Gdyby twórcy Unji z roku 1861 uważali pokój za największe szczęście na ziemi, wojnę zaś i walkę za największe zło, jakie tylko można pomyśleć, i gdyby zachowali się byli pokojowo, oszczędzonoby niezawodnie tysiące żyć ludzkich i tysiące dolarów. Niejednokrotnie nie pękłoby wówczas serce z bólu, wiele gospodarstw byłoby nie zmarniało, a krajowi naszemu oszczędzonoby wiele miesięcy smutku i hańby, podczas których zdawało się, że wojskom naszym znaczone są jedno same klęski. Obawa przed wojną byłaby wszystkim tym cierpieniom mogła zapobiec. Lecz natenczas my sami wydawalibyśmy się sobie tchórzami, dla których niema miejsca wespół wielkich narodów ziemi.

Bogu niech będą dzięki za stal w krwi naszych ojców! W krwi owych mężów, którzy wspierali mądrość Lincolna oraz miecz i karabin nieśli w szeregi Granta. My tedy, dzieci mężów, którzy w owych ciężkich dniach umieli hardo nieść głowę, my dzieci tych, którzy wojnę domową do zwycięskiego przywiedli końca — dziękujmyż Bogu ojców naszych, że nie znalazły podówczas posłuchu

ołmierźle wysiłki na rzecz pokoju, że mężny stawiono opór cierpieniom i niewygodom, bólowi i rozpaczom, oraz że przebyto zwycięsko lata walki, albowiem przez to został wyzwolony niewolnik, doszła do skutku Unja, a potężna Republika amerykańska zajmuje dotąd między narodami ziemi miejsce ukoronowanej władczyni.

Takiego zadania, jakie los na przodków naszych nałożył, my nie posiadamy. Lecz i my mamy do spełnienia pewne zadanie, i biada nam, jeśli go należycie nie doprowadzimy do końca. My nie możemy, choćbyśmy nawet chcieli, pójść za przykładem Chin i żyć w zacisznym spokoju w obrębie granic naszego kraju, nie interesując się tem, co się dzieje poza nami, pogrążeni całkowicie w drobnem kramarstwie, bez zmysłu dla wyższego życia, dla życia pełnego ambicji, wysiłków i niebezpieczeństw, zatroskani jedynie o codzienne potrzeby naszego ciała. W takim razie bowiem uczynilibyśmy pewnego dnia niewątpliwie to samo doświadczenie, które uczyniły już Chiny, mianowicie: że naród, w spokojnej izolacji zaniedbujący na tej ziemi, swoją siłę zbrojną, stać się musi wkońcu łupem innych narodów, które nie zatraciły swych męskich i mężnych przymiotów. Jeżeli naprawdę stać się chcemy wielkim narodem, to musimy usilnie dążyć do tego, by na widowni świata odegrać

wielką rolę. Nie wolno nam przed wielkimi wypadkami ustępować z drogi. Nie było dla nas w roku 1898 wyboru, czy chcemy wojny z Hiszpanją czy nie. Mjeliśmy jeden tylko wybór: cofnąć się przed tą wojną, jak tchórze, lub wszcząć ją, jak przystoi narodowi mężnemu i di mnemu, bez względu na to, czy w wojnie tej wojska nasze ostatecznie zwyciężą, czy też ulegną.

Pódebrnie ma się rzecz i teraz.

Nie możemy zrzucić z swych bark zobowiązań wobec Hawaj, Kuby, Portorica i Filipin. Od nas samych to tylko zależy, w jaki sposób je wypełnimy, czy w sposób, przynoszący zaszczyt naszemu narodowi, czy też w sposób, który dziejom naszym przyda ciemnej i zawstydzającej karty. Uchyłać się od zobowiązań, znaczy to samo, co spełniać je źle. Staje przed nami zagadnienie. Jeżeli spróbujemy je rozwiązać, to oczywiście narazimy się na niebezpieczeństwo błędu, jeżeli zaś będziemy się ociągali, to damy dowód swej słabości. Człowiek tchórzliwy i słaby, człowiek, nie mający wiary w swój własny kraj, człowiek przekulturzony, który utracił odwagę i siłę chlubną, człowiek głupi i tępy, którego dusza niewrażliwa jest na entuzjazm silnych mężów, marzących o wielkich państwach, wszyscy ci ludzie doznają oczywiście trwogi i zaleku, widząc, że kraj nasz bierze na siebie nowe zo-

bowiązania, że flotę i wojsko urządzić musimy odpowiednio do naszych potrzeb, że i my ze swej strony przyczynić się mamy do pracy całego świata, zaprowadzając ład na owych wielkich pięknych wyspach tropikalnych, na których dzielni nasi żołnierze i maitkowie zerwali flagę hiszpańską; życie pełne, życie pełne wysilenia i twórczej odwagi, życie jedyne, mając wartość dla narodu, przejmując tych ludzi przerażeniem. Oni pragną jedynie życia pełnego spokoju i odosobnienia, w którym zarówno u narodu, jak i u jednostki marnieją te głośne sęki żywotne, albo też oddają się niskiej żądzy zysku i łapczywości, uważając handel za jedyną i wyłączną sprawę narodowego życia, — nie łącząc, że handel, acz nieodzowny, stanowi jednak jeden tylko z pośród wielu pierwiastków, składających się na prawdziwą wielkość narodu. Wprawdzie żaden kraj nie może długo istnieć, nie mając podłoża dobrobytu materialnego, wypływającego z oszczędności, z potężnego ducha przedsiębiorczości i handlu, oraz z niezmordowanego wyężenia sił na polu przemysłu, wszelako żaden też naród nie może być prawdziwie wielkim, jeśli opiera się jedynie na dobrobycie materialnym.

Cześć tym, którzy położyli podwaliny pod nasz dobrobyt materialny, twórcom fabryk naszych i kolei żelaznych. Cześć silnemu człowiekowi, który pracą rąk i głowy gromadzi

kapitały! Wszystkim im kraj nasz zawdzięcza nieskończenie wiele. Lecz jeszcze więcej zawdzięcza kraj nasz mężom, których najlepiej scharakteryzowaćby można przez typ polityka, jak Lincoln, i wojownika, jak Grant. Życiem swoim stwierdzili oni konieczność pracy i wysiłku; działając, działali w obronie bytu własnego i tych wszystkich, którzy zdani byli na ich los; uznawali oni jednak, że istnieją jeszcze inne, a co więcej, wyższe obowiązki: obowiązki wobec narodu, obowiązki wobec rasy

Nie wolno nam, niby kramarzom, tkwić ustawicznie w ciasnym naszym kole, nie troszcząc się o to, co się wokoło nas dzieje. Taka polityka prowadzi do własnej zguby. Albowiem, gdy interesy ludów coraz bardziej rozprzesztuzieniają się wszereż i w coraz ściślejszy wchodzą z sobą kontakt, to my żadną miarą nie zdaliśmy doprowadzić do pomyślnego końca walki o pierwszeństwo naszego państwa, jako potęgi morskiej i handlowej, jeżeli tej naszej potęgi nie użyjemy także poza obrębem naszych granic. Trzeba nam poprzez przesmyk przekopać kanał i obsadzić co korzystniejsze punkty, ażebyśmy mogli wywierać wpływ na przyszłość wschodnich i zachodnich oceanów.

Tyle o stronie handlowej

Z stanowiska naszego honoru międzyna-

rodowego jest pozycja nasza jeszcze silniejsza. Grzmot armat z pod Manili i Santiago wciąż jeszcze huczy, niby echo naszej sławy, zarazem jednak nakłada na nas cały szereg obowiązków. Jeżeliśmy naprawdę obalili tyranię średniowieczną, poto tylko, by w jej miejsce pozwolić krzewić się dzikiej anarchji, to lepiejbyśmy byli zrobili, nie podejmując się zupełnie tego zadania. Jest więcej, niż głupiem, twierdzić, że nie mamy do spełnienia żadnych obowiązków i że powinniśmy zdobyte wyspy pozostawić własnemu ich losowi. Byłoby to niezczęściem, gdybyśmy w myśl takich zasad chcieli postępować. Natychmiastbyśmy niefortunne wyspy wtrącili w chaos największy. Na widownię wystąpiłby inny, silniejszy i bardziej mężny naród, ażeby dokonać pracy, my zaś okazalibyśmy się niedołęgami, niezdolnymi do pomyślnego dokonania zadań, które inne, wielkie i energiczne narody z radością wzięłyby na siebie.

Zadanie rozwiązać musimy. Nie wolno nam zrzucić z siebie odpowiedzialności, a jeśli jeszcze nie zamarła w nas wszystka moc, to raczej cieszyć się będziemy, że dane nam jest dokonać dzieła, że dane nam jest wykazać, iż dorociliśmy do jednego z największych zadań dzisiejszej kultury.

Nie bądźmyż jednak ślepi na pracę, jaka siły nasze oczekuje. Przedewszystkiem weź-

my na siebie odpowiedzialność z całą wymaganą powagą, odwagą i stanowczością. Wobec naszych mężów stanu, którym powierzone są nowe te zagadnienia, musimy stawiać najwyższe wymagania co do ich uczciwości i sprawności. Musimy surowe czynić sądy nad urzędnikami, którzy sprzeniewierzyli się interesem kraju, lub których kwalifikacje niezdecylnie są sprostać nowym wymogom, stawianym wobec naszych sił i środków. Strzeżmy się jednak osądzać urzędnika według jednego jego postępuku, lub wytaczać skargę przeciw komuś, kto ponosi może winę nieszczęścia czy niepowodzenia, lecz nie jest ich przyczyną.

Pragnę zapomocą kilku przykładów objaśnić moje poglądy na wojsko i flotę.

Gdybyśmy przed dwudziestu laty uwikłali się byli w wojnę, to flota nasza byłaby równie słaba, jak i wojsko. Wówczas okręty nasze byłyby wobec floty hiszpańskiej równie bezsilne, jak dziś np. niewyćwiczeni żołnierze, chociażby najdzielniejsi nawet, z karabinami starego systemu, nie byłiby zdolni oprzeć się wojsku dobrze wyćwiczonemu i zaopatrzonemu w najnowsze karabiny repetjerowe. Na szczęście zwróciliśmy z początkiem lat osmdziesiątych uwagę na naszą marynarkę a kongres uchwalił sumy na odnowienie naszej floty. Pod okiem naszych sprawnych i patrio-

tycznych sekretarzy stanu z jednego, jak i z drugiego stronnictwa wystawiono flotę, której materiały odpowiadał całkowicie sprężystej załodze. To też w roku 1898 zajęła flota nasza stanowisko, jakie się jej należy wśród najmocniejszych i najświetniejszych potęg morskich świata. Cześć mężom, którzy dzielili w swym ręku ster marynarki wówczas, gdy dokonywano wielkich czynów, cześć sekretarzowi L eng e w i i admirałowi D e w e y' o w i, cześć kapitanom, którzy dowodzili okrętami w czasie walk, cześć mężnym porucznikom, którzy na wątpliwych łodziach życie swoje narażali, cześć urzędnikom w Waszyngtonie, którzy postarali się o to, że okręty, miały takich dowódców i tak były uzbrojone, wyposażone i w tak znakomite zaopatrzone maszyny, iż pomyślny rezultat był niewątpliwym! Nie wolno nam jednak zapominać, że wszystko to byłoby daremnem, gdyby nasza siły morskie w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu nie były przedmiotem nieustannej troski. I któż nie pomyśli przytem o sekretarzach stanu naszej marynarki z owych czasów? O członkach senatu i kongresu, którzy uchwalali potrzebne kwoty na budowę i uzbrojenie okrętów oraz na wyćwiczenie załóg? O budowniczych tych okrętów? O admirałach i kapitanach, którzy krążownikami i torpedowcami po szerokim morzu wodzili, okazując swą dziel-

ność marynarską, techniczną wiedzę i sprawność w skombinowanych manewrach, zastoscwaną potem przez ich następców w tak świetny sposób w praktyce pod Manilą i Santiago.

Nie zapominajmy jednakowoż przytem o przeciwnikach, nie zapominajmy o tych członkach senatu i kongresu, którzy sprzeciwiali się budowie nowych okrętów oraz sprawiarui dział, bez których okręty byłyby bez wartości, którzy sprzeciwiali się powiększeniu budżetu marynarki oraz zwerbowaniu dostatecznej załogi dla naszej floty. Im nie należy się udział w chwale, którą zdobyliśmy pod Manilą i Santiago. Oni nie mają żadnego zgola prawa być dumnymi z męstwa naszych oficerów okrętowych, z zwycięstwa naszej flagi. Bez względu na to, czy ich zamiary były uczciwe czy nieuczciwe, czyny ich były w najwyższym stopniu zgubne. Ukrócili oni honor nasz narodowy. Zwyciężyliśmy jednak mimo smutnej ich opozycji.

Wysnujmyż tedy z przeszłości naukę dla współczesnej naszej polityki. Wojsko nasze nie ma jeszcze potrzebnej siły. Trzeba je nie tylko powiększyć, lecz zorganizować na nowych zgola podstawach. Organizację tę ująć trzeba w nowe prawa. Stworzyć trzeba sztab generalny, któryby kierował różnemi rodzajami służby. Wojsku dać trzeba przedewszyst-

kiem możność odbywania ćwiczeń na wielką skalę. Nigdy już zdarzyć się nie powinno, by, jak podczas wojny hiszpańskiej, dywizja znalazła się pod rozkazami generałmajora, który dotąd nigdy jeszcze nie manewrował trzema kompanjami razem.

Choć brzmieć to może zgola niewiarogodnie, jednakowoż kongres okazuje dotąd dziwną indolencję w wysnuwaniu nauk z doświadczeń tej wojny. W obu Izbach oświadczyła się znaczna ilość głosów przeciw wojnie, przeciw utwierdzeniu warunków pokoju, przeciw powiększeniu wojska, a nawet przeciw sprawieniu dział dla okrętów wojennych, wskutek czego wszelka dalsza budowa okrętów stałaby się niemożliwa. Moi panowie, — wszelkie nieszczęścia na lądzie i morzu, wszelką hańbę, która w najbliższych już latach spaść może na Stany Zjednoczone, zwalcie na tych mężów, którzy w traktowaniu tak ważnych zagadnień zajęli na kongresie stanowisko odporne. Oni są odpowiedzialni za życie każdego żołnierza, każdego marynarza, które przepadnie. Lecz i na Was, moi panowie i obywatele tego kraju, spaść musi ta hańba, jeśli wszelkimi siłami nie naprawicie tego, co tamci mężowie zaniedbali. Albowiem nie dowódcy niewyćwiczonych wojsk, którzy sami również żadnego nie otrzymali wykształcenia wojskowego, i nie cywilni urzędnicy departamentu

niedostatecznie urządzonego, i nie admirał, rozporządzający nazbyt małą ilością okrętów, nie oni są winni, lecz politycy, którzy w sposób tak nieczny zaniedbali wczas wydać odpowiednie zarządzenia, oraz lud, za politykami tymi stojący.

Wojsko i flota — oto miecz i tarcza, które naród nasz musi dźwigać, jeśli spełnić ma swój obowiązek pośród narodów ziemi, a nie stać się Chinami zachodniej półkuli ziemskiej.

Zarówno w Indjach Zachodnich, jak i na Filipinach stoimy wobec zadań niesłychanie trudnych. Byłoby tchórzostwem, gdybyśmy mieli cofnąć się przed temi trudnościami. Muszą one na wszelki sposób być rozwiązane, jeśli nie przez nas, to przez jakiś inny, dzielniejszy i silniejszy naród. Jeżeli my jesteśmy za miękcy, za samolubni lub za niedołążni dla tego zadania, to ująć je muszą w swe ręce ludzie bardziej odporni i zdatniejsi od nas. Mam jednak zbyt wiele wiary w wielkość mojego kraju, w energję moich ziomków, by choćby na chwilę przypuszczać, że mogłoby dojść do tego.

Przy każdej wyspie liczyć się musimy z innemi okolicznościami. Portorico nie jest dość wielkie, by mogło stanąć na własnych nogach, musimy rządzić niem dobrze i rozumnie, a przedewszystkiem otoczyć opieką interesy tułyczej ludności. Wyspa Kuba posiada

według mojego zdania prawo do tego, by sama rozstrzygnęła potem, czy pragnie stanowić państwo niezależne, czy też być częścią najpotężniejszej ze wszystkich republik. Póki jednakże nie zostanie tam przywrócony całkowity porządek i wolność, póty musimy na wyspie tej pozostać, ażeby o to się starać. Nasi wojskowi i cywilni urzędnicy muszą z wielkim taktem i rozumem, umiarkowaniem i odwagą przywracać spokój; na wyspie, muszą wszelkie złoćstwo ukrócać nieznużenie, muszą bezstronnie ochraniać wolność, a tym, którzy walczyli o wolność Kuby, okazać wszelki należny im szacunek.

Jeszcze większe trudności nastęrczają nam Filipiny. Ludność ich składa się z tubylczych chrześcijan, wojowniczych mahometan i barbarzyńskich pogan. Znaczna część ludności nie ma zdolności do samorządu i, o ile to przewidzieć można, nigdy ich mieć nie będzie. Inni nabierają czasem może zdolności do samorządu, na razie jednak muszą się jeszcze poddać rządowi, działającemu wedle rozumnej zasady: Surowo a z pożytkiem. Wypełdziliśmy z wysp tyranję hiszpańską, gdyby jednak na jej miejsce wstąpić miała barbarzyńska anarchja, to zamiast dobrego uzyskalibyśmy tylko zło.

Mało mam szacunku dla ludzi, którzy są nazbyt lękliwi, by objąć rządy na Filipinach,

i którzy jawnie obawie tej dają wyraz lub też przeciwni są temu. ze względu na koszta i trudy. Lecz jeszcze mniej szacunku mam dla tych niezdolnych panów, którzy tchórzostwo swoje zasłaniają fałszywą ludzkością i domokrażą z takimi słowami, jak „wolność“ oraz „zgoda tubylców“ — celem usprawiedliwienia tego, że sami nie śmieją wziąć na się roli, godnej mężów. Gdyby nauka ich zwyciężyła, to po dziś dzień jeszcze byłiby apasze w Arizonie pozostawieni samym sobie, a my nie mielibyśmy zgoła potrzeby parać się z jakimś powstaniem indyjskim. Nauka ta potępia to, że Wasi i moi ojcowie osiedlili się w Stanach Zjednoczonych.

Rządy angielskie w Indjach i Egipcie przyniosły Anglii wielkie korzyści, lecz jeszcze większe korzyści przyniosły one Indjom i Egipcjom oraz samej kulturze. Taksamo i myśmy winni, spełniając obowiązki swoje wobec Filipin, przyczynić się do narodowej sławy, tworzącej najlepszą i najszlachetniejszą część życia narodowego, ile że w ten sposób pomnożymy dobrobyt mieszkańców tych wysp a przede wszystkim przysłużymy się postępcwi ludzkości. Lecz na to potrzeba wysokiego stopnia odwagi, uczciwości i roztropności. Musimy złamać wszelki opór. Flaga nasza musi być uznana. Przedewszystkiem jednak musimy zdusić złośliwy opór nieprzyja-

ciela w sposób nieugięty i ile możności jak najszybciej. Od tych zaś z pośród naszych rodaków, którzy nieprzyjacielowi dodają otuchy, możemy odwrócić się z milczącą pogardą.

Właściwie dopiero z chwilą stłumienia powstania i umocnienia naszych rządów, zacznie się nasze trudne zdanie. Bo odtąd starać się będziemy musieli, by rządono wyspami z pełną uczciwością i z wielkim rozumem. Dokonywać mianowania urzędników pod wpływem partji rządzącej, byłoby pierwszym krokiem na tej szeroko udeptanej drodze, która Hiszpanję doprowadziła do zguby. Musimy posyłać tam ludzi dobrych i rozumnych, ludzi, których mianuje się nie dla ich politycznej barwy, lecz dla ich zdolności. Urzędnicy muszą nie tylko postępować bezstronnie wobec tubylców, a zarazem uczciwie i wiernie służyć własnemu krajowi, lecz nadto ujawniać w wysokim stopniu takt i energję, pamiętać zawsze, że wobec ludzi, z którymi tam mamy do czynienia, jeszcze większą zbrodnią jest słabość, niż nieuszanowanie panujących tam zasad i przesądów.

Współobywatele! Ojczyzna nakłada na was żywot nie pełen wygody, lecz pełen pracy. Wiek dwudziesty rozstrzygnie o losie niejednego ludu. Jeżeli pozostaniemy tylko spokojnymi widzami, jeżeli dosytn szukać będziemy w niechlubnym pokoju, jeżeli cofnie-

my się przed walką, która sama jedna tylko prowadzi do zwycięstwa, chociażby złączona z niebezpieczeństwem utraty życia i wszystkiego, co nam drogie, natenczas usuną nas na łok inne mężniejsze i silniejsze narody i o władną panowaniem nad światem. Dlatego idźmy śmiało w życie pełne walki, z tą silną wolą, by prawym być w czynie i słowie, z tą silną wolą, by być zarówno uczciwym, jak dzielnym, by, mając stale przed oczyma wzniosłe ideały, stosować zarazem środki praktyczne. Tak, niechaj nas żadna walka, duchowa czy fizyczna, w kraju czy zagranicą, nie odstrasza, jeżeli jesteśmy przekonani, że walka ta jest słuszna. Albowiem tylko przez walkę, przez usilne wytężenie i stawianie czoła niebezpieczeństwom osiągniemy ostatecznie cel naszej prawdziwej wielkości narodowej.



AMERYKAŃSKI MŁODZIEŃC

(Artykuł z maja r. 1900)

OD KAŻDEGO amerykańskiego młodzieńca musimy wymagać, by stał się dobrym amerykańskim obywatelem. Nie wiele rokuje on nadziei, że urośnie z niego porządny mężczyzna, jeśli nie jest porządnym młodzieńcem. Nie wolno mu być ani tchórzem ani niedołągą, ani krnąbrnym, ani podstępny, ani pedantycznym. Musi odznaczać się otwartą głową i czystym sposobem życia. Ostać się musi wobec każdego i w każdej sytuacji. Tylko bowiem w takim razie stać się może obywatelem, z którego Ameryka słusznie będzie mogła być dumną.

Istnieją w życiu niezliczone wpływy, wiodące do dobrego lub złego. Każde następne pokolenie pozostaje pod temi wpływami, które jednego czynią silnym, drugiego słabym. Niezawsze niestety dobrzy stają się silniejsz-

mi a źli słabszymi. Wszelako od jakichś dzie-
sięciu lat dostrzec można w życiu naszej mło-
dzieży wyraźny postęp ku lepszemu. Rosnące
zamiłowanie do sportu, acz niepozbawione
niebezpieczeństw, jeśli uprawia go się w spo-
sób jednostronny i niezdrowy, potęguje nad-
zwyczajnie rozwój męskich przymiotów. Jesz-
cze czterdzieści czy pięćdziesiąt lat temu mu-
siał moralista amerykański gromić zniewie-
ściałość i rozpieszczenie młodych Ameryka-
nów, których rodzice byli bogaci. Synowie
zamożnych rodziców, szczególnie w wielkich,
wschodnich miastach, żyli podówczas nadto
zbyt kownie; gra w bilard była najglówniej-
szą z niewinnych ich rozrywek; nie wsty-
dzili się też oni wcale przyznawać do tego, że
do gier na wolnem powietrzu zgoła się nie na-
dają. Dziś synowie bogatych rodziców, choćby
skądinąd do różnych skłonni byli błazeństw,
jednakże, zniewoleni poglądami swych towa-
rzyszy, ćwiczą się w grach męskich i kształcą
ciało, a przytem również mniej lub więcej
i swó: charakter zapomocą wzmacniającego
sportu, w którym ujawniać się muszą odwaga,
energja i siła.

Rozumie się samo przez się, że młodzież,
pracująca poza domem, której zajęcie stoi na
równi z grami na wolnem powietrzu, mniej-
szą ma potrzebę ćwiczeń cielesnych. Podczas
wojny domowej okazali się żołnierze, którzy

przybyli z preryj, stepów czy bezdrożnych gór, którzy już od dziecka umieli jeździć na koniu i władać bronią, choć jeszcze ledwie pełzać wówczas umieli, i którzy przy każdej sposobności spali pod gołym niebem, o wiele zdatniejszymi do służby wojskowej, niż wychowankowie uczonych szkół.

Lecz równie opaczną jest rzeczą wartość gimnastyki przeceniać, jak jej niedoceniać.

Grecy byli znamienitymi gimnastykami, i, póki gimnastykę uprawiano u nich w mierze, póty działało im się z tem dobrze. Gdy jednak peczeli dla gimnastyki zaniedbywać poważniejsze przymioty, nieodzownie potrzebne żołnierzowi i mężowi stanu, złe tego następstwa nie dały długo na siebie czekać.

Niektórym z naszych młodych czytelników wpadną może w ręce słynne listy Pliniusza Młodszego, który w pierwszym wieku naszej rachuby czasu zapisał myśli, wydające się nam dzisiaj dziwnie współczesnymi. W jego nader doniclej korespondencji z cesarzem Trajanem uderza najbardziej może ów wzgardliwy ton, w jakim Pliniusz mówi o gimnastycznych ćwiczeniach Greków; uważa je za zwyrodnienie niewojowniczego ludu i zachęca do dalszej ich uprawy, jeżeli się ze strony Greków niczego nie chce obawiać. Również królowie perscy widzieli się przez pewien czas zniewoleni zakazać gry w polo,

ponieważ żołnierze wskutek namiętności dla tej gry zaniedbywali służbę wojskową. Po żołnierzach, którzy w sposób przesadny oddają się sportowi i innym grom, i którzy się wskutek tego zaniedbują w nabywaniu potrzebnej zdatności do swego zawodu, nie wiele można oczekiwać. Żołnierz musi umieć dobrze strzelać, a zarazem dbać o należyte zabezpieczenie, w razie potrzeby zaś o ocalenie życia. Boks i piłka nożna mniej mu się przydadzą.

Często miesza się środki z celem.

Polowanie na lisy n. p. jest sportem wybornym; jakież to jednak niemądre, jeśli niektórzy wielcy myśliwi mówią o tej dobrej, lecz nieszczególnie pożytecznej rozrywce z takim zadyszanym zapalem! Unoszą się oni nad tem tak samo, jak szlachta francuska i niemiecka unosiła się w poprzednim wieku nad polowaniem na jelenie, gdy ustawy myśliwskie były dla dobra ogólnego szkodliwe. Polowania na lisy mogą stanowić niezłą rozrywkę, lecz dla człowieka nowoczesnego są one mimo wszystko smutnym rodzajem zajęcia. Żaden pisarz myśliwski nie omieszka uraczyć nas opowiadaniem o owym myśliwym, polującym na lisy, który podczas angielskiej wojny domowej, właśnie wtedy, gdy toczyła się wielka walka, dostał się w pogoni za zwierzyną pomiędzy oba wojska sobie wrogie.

Widocznie poczytują to owi pisarze owemu człowiekowi za zasługę, że kiedy ojczyzna walczyła na śmierć i życie, on, zamiast chwycić za broń i stanąć po tej czy po tamtej stronie, oddawał się spokojnie zwyczajnej swej rozrywce myśliwskiej.

Wielki pożytek z polowania na lisy jest oczywiście ten, że rozwija ono odwagę i przytemność umysłu, która znowu czyni człowieka zdolnym do pracy i walki za kraj w dniach potrzeby. Skoro zaś cel i środki tak się pomiesza z sobą, że polowanie na lisy, polo i piłka nożna czy jakikolwiek inny sport stań się celem, zamiast być przygotowaniem do wielkiej pracy, która będzie potrzebna, gdy czas jej nadejdzie, to w takim razie uczyniłoby się lepiej, nie troszcząc się o sport zupełnie.

Żaden młodzieniec nie powinien pracy swej wykonywać opieszale, bo pracować znaćczy dlań tyle, co uczyć się. Są wprawdzie przykłady ludzi, którzy w szkole siedzieli w ostatnim rzędzie ław, a mimoto później wstąpili na wspaniałą drogę życia. Lecz byłoby równie opacznie uważać takie wyjątki za regułę, jak, gdyby ślepotę uważano za zaletę dlatego tylko, że kilku ciemnych zdobyło sobie nieśmiertelną sławę, odniósłszy zwycięstwo nad swą fizyczną ułomnością i dokonawszy w świecie wielkich czynów. Wcale nie jestem za bezmyślnem przeciążeniem w nauce.

Lecz młody musi w szkole pracować i to pracować z wyteżeniem, po pierwsze dlatego, żeby się czegoś nauczyć, a po drugie dla zbalansowanego wpływu, jaki spokojna, równomierna praca wywiera na charakter. Niecierpliwłość, opieszałość i obojętność w nauce są najczęściej zwiastunami niezdatności, utrudniającej później zajęcie jakiegosć stanowiska w świecie. Gdy młodzieniec dorośnie, wolno mu będzie w swych studiach wybrać ten kierunek, ku któremu czuje największy pociąg, zawsze jednak musi pracy swej poświęcać się całą duszą. Dokuczanie szkole błazeństwami i przeszkadzanie w nauce zasługuje na potępienie. Jestem zdania, że młodzi, którzy poza szkołą należycie się wybawią i rozruszają swe ramiona i nogi, nie będą odczuwali potrzeby, by podczas nauki zachowywać się niesfornie i nie spokojnie. Młodzi winni ten sam zapał okazywać w nauce, co i w grze w piłkę nożną. Złotą regułą jest stare przysłowie: nauka i zabawa, wszystko w swoim czasie. Młodzik musi mieć zarówno fizyczną, jak i moralną odwagę. Jedno nie może zastąpić braku drugiego. Później przekonają się młodzi, że istnieją żołnierze dzielni w polu, w polityce zaś trwożliwi oraz bez żadnego zgoła znaczenia, z drugiej zaś strony politycy, którzy biali pełną na siebie odpowiedzialność, ilekroć

radzono o losach kraju, którzy jednak nie mają dość odwagi, by bronić się, gdy osoba ich stanie wobec niebezpieczeństwa. Obaj oni, żołnierz i polityk, posiadają połowiczne tylko cnoty. To, że się jest odważnym jako żołnierz, nie usprawiedliwia jeszcze tego, że się jest tchórzem jako polityk; tożsamo i polityk nie może bronić się nieustraszoną swą przy zielonym stole jako usprawiedliwieniem swej trwogi na placu boju.

Dotyczy to również młodzieży. Tchórz, który, nie broniąc się, pozwala na to, by go obrażano, jest istotą godną pogardy; mniej on jednak jeszcze zasługuje właściwie na pogardę, niż młodzieniec, który tego, co uważa za słuszne, nie broni bez względu na wszystko — przeciwko towarzyszom. mającym wedle niego niesłuszność. Ośmieszyć kogo, to jedna z najbardziej ulubionych broni, by przeciwnikowi dokuczyć. Jestto rzecz niepojęta, jak dołrzy i prządni chłopcy dają się zapomocą drwin opanowywać towarzyszom, biorącym górę dzięki swym drwinom i ośmieszającym takie właściwości, dla których winno się mieć właściwie szacunek.

Żaden młody nie musi być wykwittem cnoty: nie powinien też pysznić się dobrem swem zachowaniem i cnotliwością. Staje się przez to nieznośnym i śmiesznym. Mimo to powinien

pod każdym względem zachowywać się porządnie. Powinien być czystego serca i otwarty, szczerzy i zasługujący na zaufanie, uprzejmy i skromny, a zarazem odważny i dzielny. Gdy dojrzeje i zdołnym będzie widzieć różnice, będzie z głęboką pogardą spoglądał na młodzieńca, który kroczy drogą odwrotną i jest wiarołomny, pospolity, nieuczciwy i nieokrzesany.

Jak z jednej strony winien być młodzieńiec śmiałym i nie ustępującym z drogi nikomu, jak za hańbę to sobie mieć winien, gdyby inni po nim deptali, tak też z drugiej strony nie powinien sam czynić krzywdy innym, nie powinien być brutalnym i szorstkim.

Istnieją dwie zachwycające książki: Tomasa Hughes'a „Tom Brown at Rugby“ i Aldricha „Story of a bad boy“.

Spodziewam się, że wszyscy młodzi książki te znają. Prawdopodobnie jednak chłopcy amerykańscy przyznają wyższość opowiadaniu Aldricha, ponieważ niema w niej nic z owego programowego dręczycielstwa jednego kolegi przez innych, które to bezceństwo stale odstręczało amerykańskich wielbicieli od „Tom Brown“.

Podobna różnica znamionuje też dwa opowiadania Kiplinga. Jedno z nich p. t. „Captains Courageous“ opisuje nader

żywo, jakim być winien młodzieniec i jak się powinien zachowywać. Na początku opowiadania przedstawiony jest ów młodzieniec jako zepsute i rozpieszczone dziecko ogromnie bogatych rodziców w rodzaju tych, jakich się niestety w wielu egzemplarzach spotyka w życiu, a jacy w gruncie rzeczy należą do najszpetniejszych zgorszeń w tym wielkim, szerokim świecie. Później zmuszony jest ów młodzieniec zdobywać własne utrzymanie i ciężko pracować wśród młodych oraz mężczyzn, którzy naprawdę są młodymi i mężczyznami, i którzy naprawdę coś porządnego zrobić umieją. To też wyniki są nadzwyczajne.

Kto natomiast poznać pragnie typy młodych, których unikać należy jak dżumy, niechaj przeczyta drugą opowieść Kiplinga p. t. „Stalky and Co“. Opowieść to, której nigdy nie należało napisać, — nie sposób bowiem wymyśleć jakiegokolwiek przestępstwa, którego by w niej nie uświetniono, ani jakiegokolwiek skandalu szkolnego, któryby nie znalazł w niej uznania. Młodzi, którzy dręczą innych, nie będą nigdy dzielnymi mężczyznami. Młodzi oraz mężczyźni, którzy żyją źle, muszą najpierw zmienić swój tryb życia, by stać się mogli dobrymi obywatelami i Amerykanami.

Młodzieniec stanie się dobrym mężczyzną najlepiej w ten sposób, że będzie dobrym młodzieńcem. Dobrym, bez zastrzeżeń. „Do-

bry“ w najszerszym tego słowa znaczeniu obejmuje wszystko, co szlachetne, szczerze, czyste, dzielne i męskie. Najlepsi młodzieńcy, najlepsi mężowie, których znam, są również dobrymi w swych studjach i dobrymi w swym zawodzie. Są nieustraszeni, mocni, nienawiścią i obawą przejmujący wszystkich złych i zepsutych, zdolni do odporu wobec wszystkiego, co opaczne. surowi a zarazem łagodni wobec słabych i potrzebujących pomocy. Młodzieniec - chwyt brzydzić się będzie z całego serca tchórzem a jeszcze bardziej takim, który dręczy dziewczęta i młodszych chłopców i ckrutnym jest dla zwierząt. Przedewszystkiem zaś musi on czuć wstręt wobec tchórzy dlatego, że każdy dobry młodzieniec prędzej czy później stanąć musi kiedyś wobec smutnej konieczności wymierzenia tchórzowi racji kijów.

Rzucicie się samo przez się, że taki prawdziwy chwyt, otwarty i uczciwy, wywiera niesłychanie wielki wpływ na swych rówieśników i młodszych od siebie. Jeśli natomiast nie będzie śmiałym i mocnym, to inni nie będą dlań mieli szacunku, tak, że i inne jego zalety nie będą wchodziły już w rachubę. Będzie li zaś pospolitym, nieokrzesanym i złym ze względu na swą siłę i przewagę fizyczną, to stanie się tem szkodliwszym członkiem naszej

społeczności. Nie zdziała nic dobrego, skoro siły swej i mocy nie zdoła ująć w karby.

Siła jego woli stanie się dla niego samego i dla innych klątwą, jeżeli nie potrafi zaprowadzić nad sobą samym oraz nad swemi złem popędami, i jeśli siły swej nie odda w służbę ogólnego dobra, prawości i uczciwości.



NAKŁADEM SPÓŁKI AKC. WYDAWNICZEJ
WE LWOWIE

WYCHODZI

BIBLIOTEKA TĘCZOWA

POD REDAKCJA

JÓZEFA MIRSKEGO

Podjmując wydawnictwo BIBLIOTEKI TĘCZOWEJ, pragniemy uczynić zadość istotnej potrzebie naszego czytelnictwa. BIBLIOTEKA TĘCZOWA bowiem służyć ma *aktualności* w najlepszym tego słowa i od wszelkiej sensacyjności dalekiem znaczeniu, tj. *żywej myśli nowoczesnej*. Nawiązawszy kontakt z najwybitniejszymi literatami, uczonymi, politykami i innymi twórcami umysłowymi, polskimi i obcymi, przynosić będzie BIBLIOTEKA TĘCZOWA w niewielkich tomikach prace, oświetlające w formie wykładów, prelekcji, mów, studjów i t. p. syntetycznych ujęć, ogólne a pilne dla człowieka nowoczesnego sprawy i zagadnienia.

Przez dobór poruszanych kwestyj, samodzielne twórcze ich ujęcie oraz gruntowne i rzetelne opracowanie spełnią tomiki BIBLIOTEKI TĘCZOWEJ poważną misję kulturalną, stając się dla nowoczesnego czytelnika polskiego prawdziwym *Vademecum* w labiryncie zagadnień *nowej, tworzącej się kultury*.

Między innymi szczególną nowość tworzyć będą tomiki, poświęcone dziedzinie tak dziś aktualnej, jak *polityka*, a pochodzące z pod pióra

najwybitniejszych, polskich i zagranicznych, mężów stanu doby obecnej i ledwie co minionej, których BIBLIOTEKA TĘCZOWA do współpracy pozyskała.

DOTĄD UKAZAŁY SIĘ NASTĘPUJĄCE TOMIKI:

- Nr. 1. *Wacław Sieroszewski*: Na wulkanach Japonji.
Nr. 2. *Tomasz G. Masaryk*: Słowianie po wojnie. (Autoryzowany przekład *Ostapa Ortwina*).
Nr. 3. *Józef Jedlicz*: Teatr a kino.
Nr. 4. *Jan Parandowski*: Rzym czarodziejski.
Nr. 5. *Teodor Roosevelt*: Amerykanizm. — (Wstęp i przekład *J. Mirskiego*).
Nr. 6. *Karol Irzykowski*: Prolegomena do charakterologii.

W PRZYGOTOWANIU SĄ PRACE.

St. Brzozowski, Wł. Jampolskiego, E. Jędrkiewiczza, prof. E. Kucharskiego, J. Kaden-Bandrowskiego, J. Mirskiego, St. Niewiadomskiego, O. Ortwina, prof. M. Schorra, Kar. Szymanowskiego, M. Tretera, St. Wasylewskiego, M. J. hr. Wielopolskiej, J. Wittlina, Wł. Witwickiego, prof. T. Zielińskiego. — Abanindra Nath-Tagore'go, G. Le Bona, R. Rollanda. — Benesza, Lloyd George'a, Mussoliniego, Poincaré'go, Wilsona i i.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH WIĘKSZYCH KSIĘGARNIACH LUB WPROST U WYDAWCY.

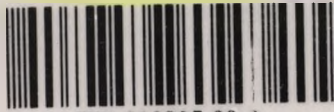
SPÓŁKA AKCYJNA WYDAWNICZA

DZIAŁ WYDAWNICZY KSIĄŻEK

LWÓW, ul. Zimorowicza 5. — Tel. Nr. 13—13.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 313805



000-313805-00-)

